

PARADA

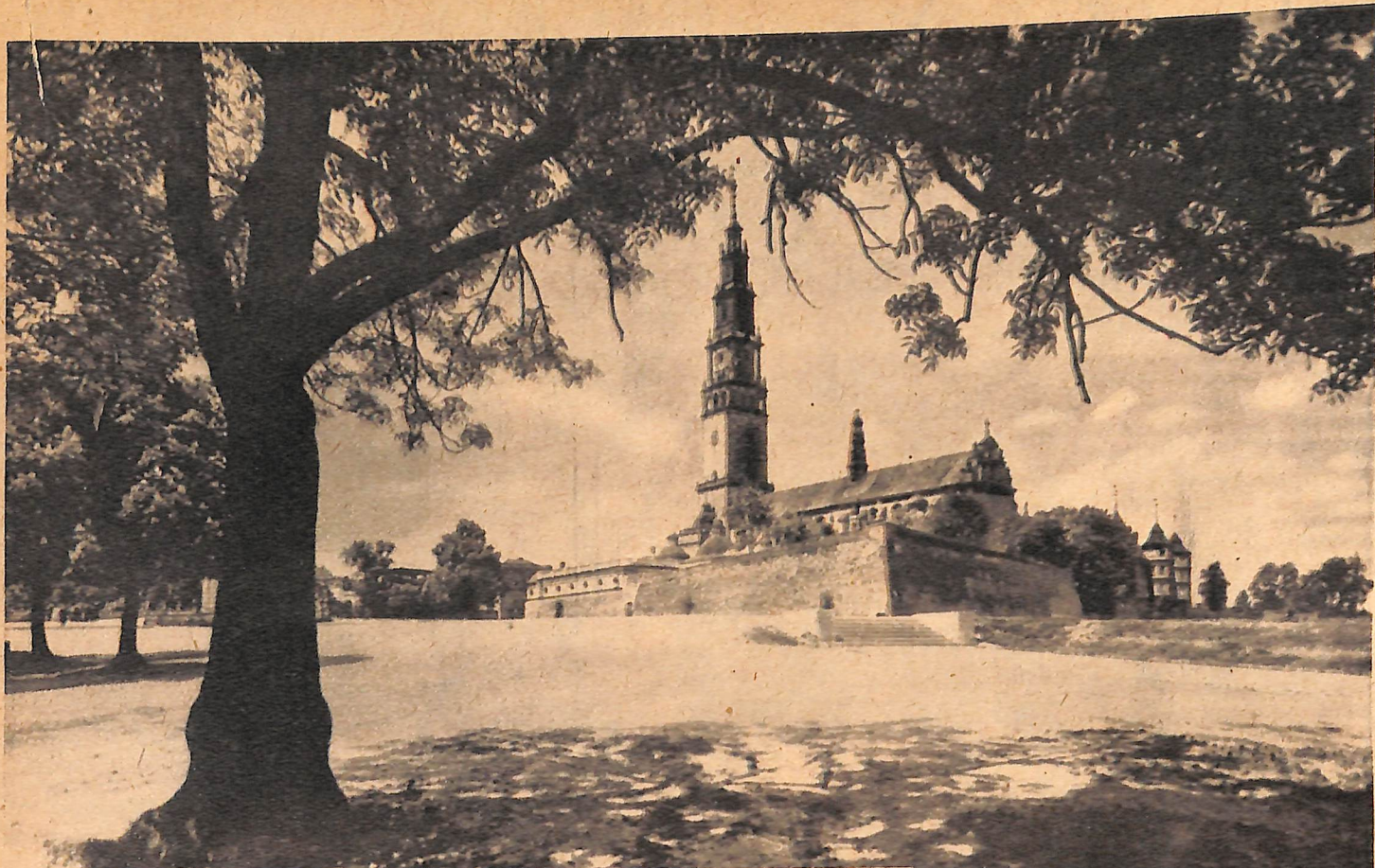


ROK II

NIEDZIELA, 20 SIERPNIĄ 1944 R.
SUNDAY, AUGUST 20, 1944

Nr 17 (36)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

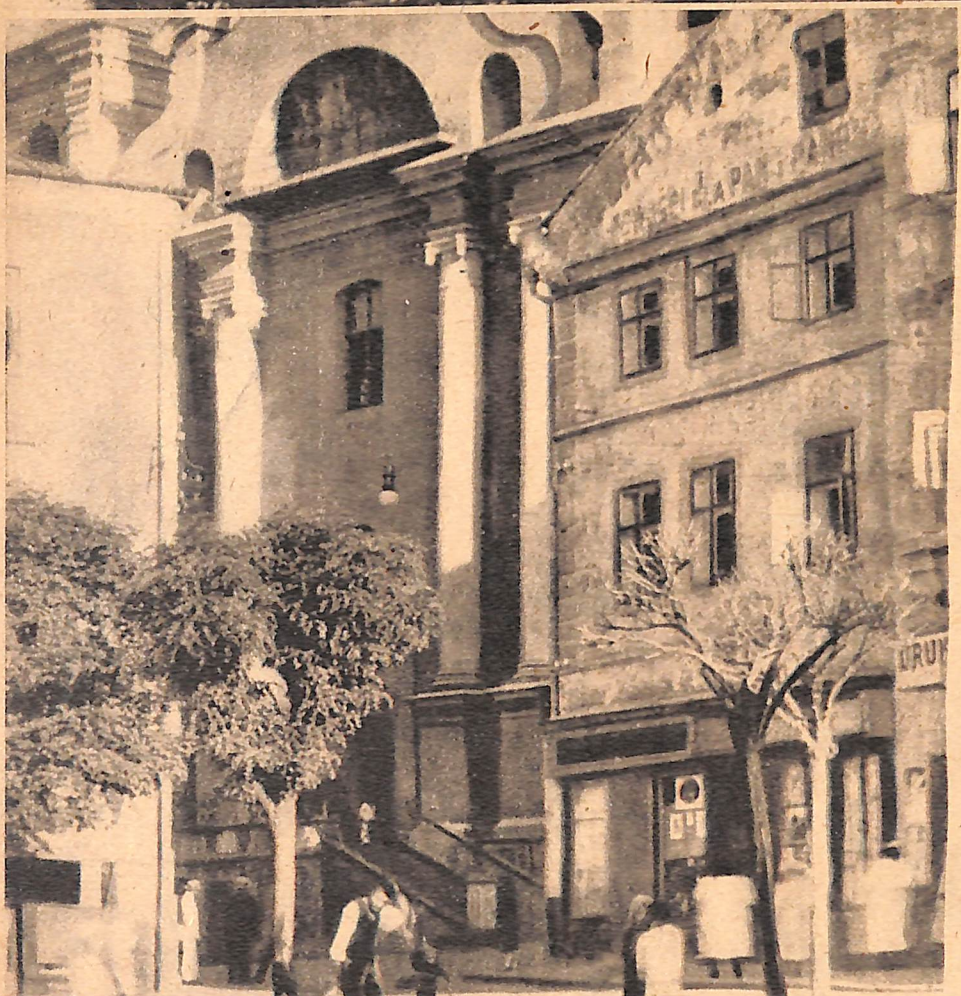


Każdy z nas ma swoje miasto jedyne, najdroższe, miasto dzieciństwa, beztroskich lat szkolnych, miasto swej matki. Na ziemi, która od dziesiątków wieków jest naszą własną, nikomu nie zagrabioną, a przed wszystkimi bronioną, każdy w jakimś swoim miejscu czuł najlepiej tęchnienie Ojczyzny, każdy miał dom, miał miasto, które na wylot znał — ulice, kościoły, ludzi... Miejsce mogło być łące, biedne, miasto mogło być miastem, nie bardzo podłą lub wielkim ośrodkiem, ale z niego to wybiegały nici, łączące z całością — z Polską, i do niego spływały kwestie ważne, tutaj, w kociołku prowincjonalnego zaścianka stąpiane z osobistymi sprawami w ciepłe, najmocniejsze uczucie — miłości Kraju, miłości właśnie tu najbardziej realnej i tym wierniejszej.

Wszystko to — było. Wierzymy, że jeszcze — będzie. Bez wiary nie ma miłości. Bez takiej wiary nie byłoby też naszych miast, których historia jest historią Polski.

Naszych miast... Nie podobna ich tu wyliczyć, tych wielkich i małych, najmniejszych, o które walczyliśmy od Września, za którymi tęsknimy. Każde z nich ma inną wymowę, z każdym związani jesteśmy inaczej. Są miasta szczególnie drogie, najdroższe przede wszystkim dla otaczających je ziem — Wilno i Lwów, Poznań i Toruń, czy Katowice. Są inne, które skupiają równie silnie miłość wszystkich Polaków — Warszawa i Gdynia. Ale łączy je wszystkie wspólność historii polskiej, wspólność żywa, trwająca po dziś dzień i nigdy nie zerwana żadnym gwałtem, ani nawałnicami. Nie dzieli ich nic, łączy wszystko. Nie zdoła ich rozdzielić żadna linia „graniczna”, tylekroć wykreślana przez imperializm od zachodu i wschodu. Nie zdoła i teraz!

Jak miasta Anglii są angielskie, tak miasta Polski są polskie. Nie o rezygnację z Polski toczy się ta wojna, nasza wojna!

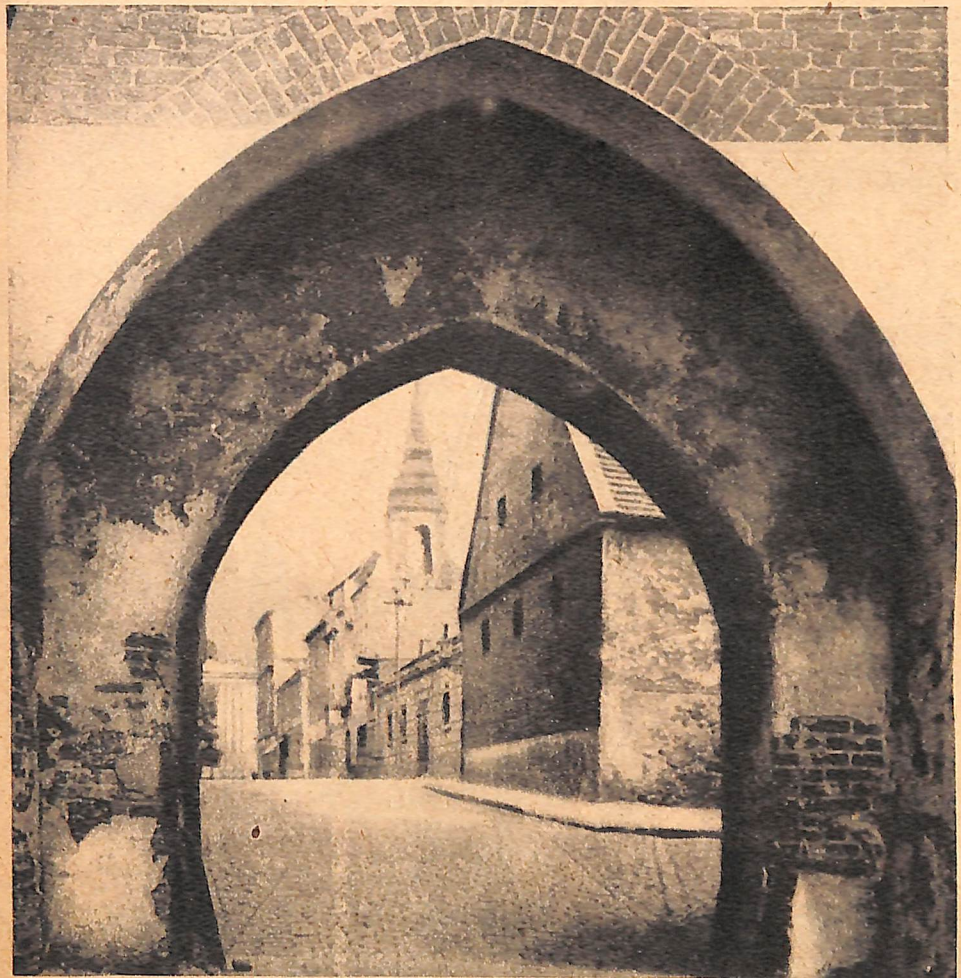


Częstochowa — Klasztor Jasnogórski



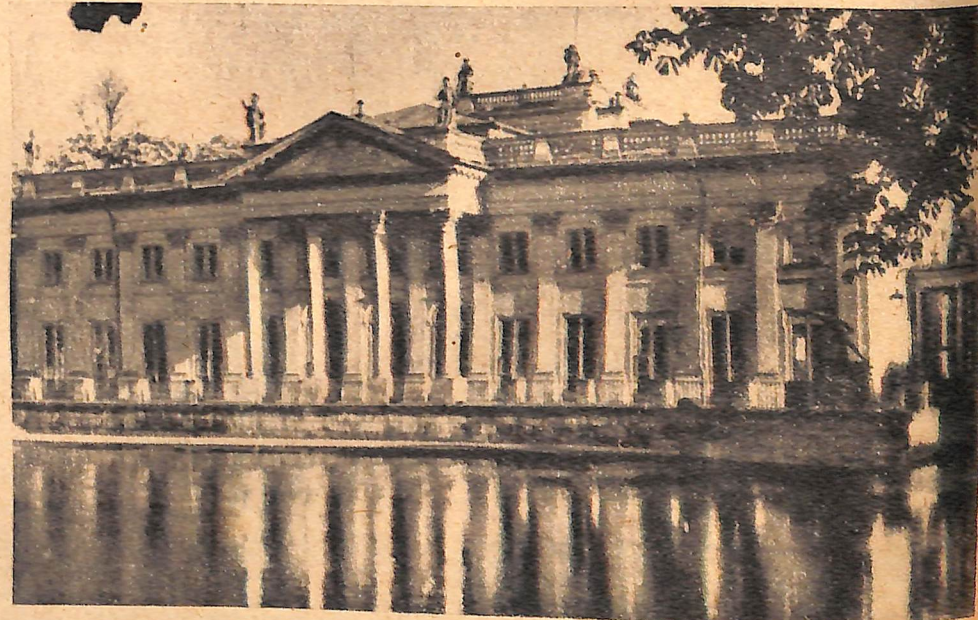
Kraków — Rynek ↑

↓ Warszawa — Łazienki



Przemysł — Plac targowy ↑

↓ Toruń — Brama Mostowa



W chwili gdy piszemy te słowa premier Mikołajczyk jest w Moskwie. Żołnierz polski jest 9-ty miesiąc na froncie włoskim. Bije się, zwycięża zyskując sławę i uznanie swych brytyjskich, amerykańskich i francuskich towarzyszy broni.

Żołnierz polski z pod Cassino, Piedimonte i Ancony nie pragnie szumnych pochwał i mglistych zapewnień. Chce wiedzieć, że walczy i ginie za swój dom w Grodnie, w Wilnie, we Lwowie, Nowogródku — w Warszawie czy Poznaniu. Chce wiedzieć, że walczy jak Anglicy czy Francuzi o rzecz konkretną, o państwo nie umniejszone i niepodległe.

Stanowisko naszego rządu jest trudne. Stanowisko żołnierza na froncie jest również nie łatwe. Jeżeli na polach bitew wydobył on z siebie maksimum hartu i jak obcy przyznają — heroizmu, ma prawo wierzyć, że jego rząd i społeczeństwo stać będą równie twardo i nieustępliwie w obronie tych wartości, za które przelewa krew.

Historia zagadnienia polsko-rosyjskiego jest powszechnie znana i nie ma potrzeby przytaczać jeszcze raz faktów i dat. Związek Sowiecki dysponuje w tej chwili siłą, która wielokrotnie przewyższa nasze zasoby i możliwości. We wrześniu 1939 roku Niemcy — niemal trzykrotnie przewyższające nas potencjałem ludnościowym, nie mówiąc o przemyśle i zbrojeniach — postawiły nam żądania godzące w naszą niepodległość. Żądania te odrzuciliśmy. Po krwawych walkach ulegliśmy przemocy. Nie uznaliśmy jednak nigdy stanu spowodowanego siłą i terorem na naszych ziemiach. Nie skapitulowaliśmy. Skapitulować — to znaczy wyrazić zgo-

dę na stan spowodowany przemocą, skapitulować — to znaczy ulegalizować własną klęskę.

W dniu 17 września 1939 roku, gdy żołnierz polski w rozpaczliwym wysiłku walczył przeciw niemieckim najeźdźcy — wojska sowieckie, mimo istniejącego paktu o nieagresji, wkroczyły do Polski. Historia okupacji sowieckiej jest również powszechnie znana. Mimo to naród polski jest gotów do nawiązania dyplomatycznych stosunków ze Związkiem Sowieckim.

Gotowi jesteśmy do podjęcia sąsiedzkich stosunków, ale nie za cenę czwartego rozbioru Polski, nie za cenę ingerencji w nasze wewnętrzne życie, nie za cenę utraty niepodległości.

Przy Rosji jest w tej chwili siła — przy nas słuszność i prawo. Prawo zdeptane i pogwałcone nie przestaje być prawem. Żołnierz polski nigdy nie uważał i nie uważa dziś, że jest „realizmem politycznym” kapitulować przed siłą.

Nie kapitulowaliśmy po klęskach powstań narodowych, nie kapitulowaliśmy po Wrześniu, nie skapitulujemy i teraz. Nie uznamy krzywd przemocy — nie uznamy stanów faktycznych spowodowanych siłą.

Premier Churchill powiedział w jednej ze swych mów: „Nie na to jestem premierem rządu Jego Królewskiej Mości, abym miał przewodniczyć likwidacji Imperium Brytyjskiego”. Żołnierz polski, walczący od pięciu lat w imię wspólnej sprawy, ma prawo powiedzieć to samo w odniesieniu do swojej Ojczyzny.

J. M.

J. K. M. Król Jerzy VI wśród żołnierzy 2 Korpusu

KORESPONDENCJA WŁASNA „PARADY” — WITOLD DOMAŃSKI

Rozentuzjzmowani żołnierze angielscy wrzeszczą co siłą w płucach „hip—hip—hurrah” i zapamiętałe machają furazer-

kami. Środkiem drogi, wewnątrz szpaleru sunie kolumna limuzyn. W pierwszym otwartym wozie jedzie Król, w następ-

nym gen. Alexander. W trzecim samochodzie widać dobrze znaną wszystkim żołnierzom na froncie twarz gen. Leese

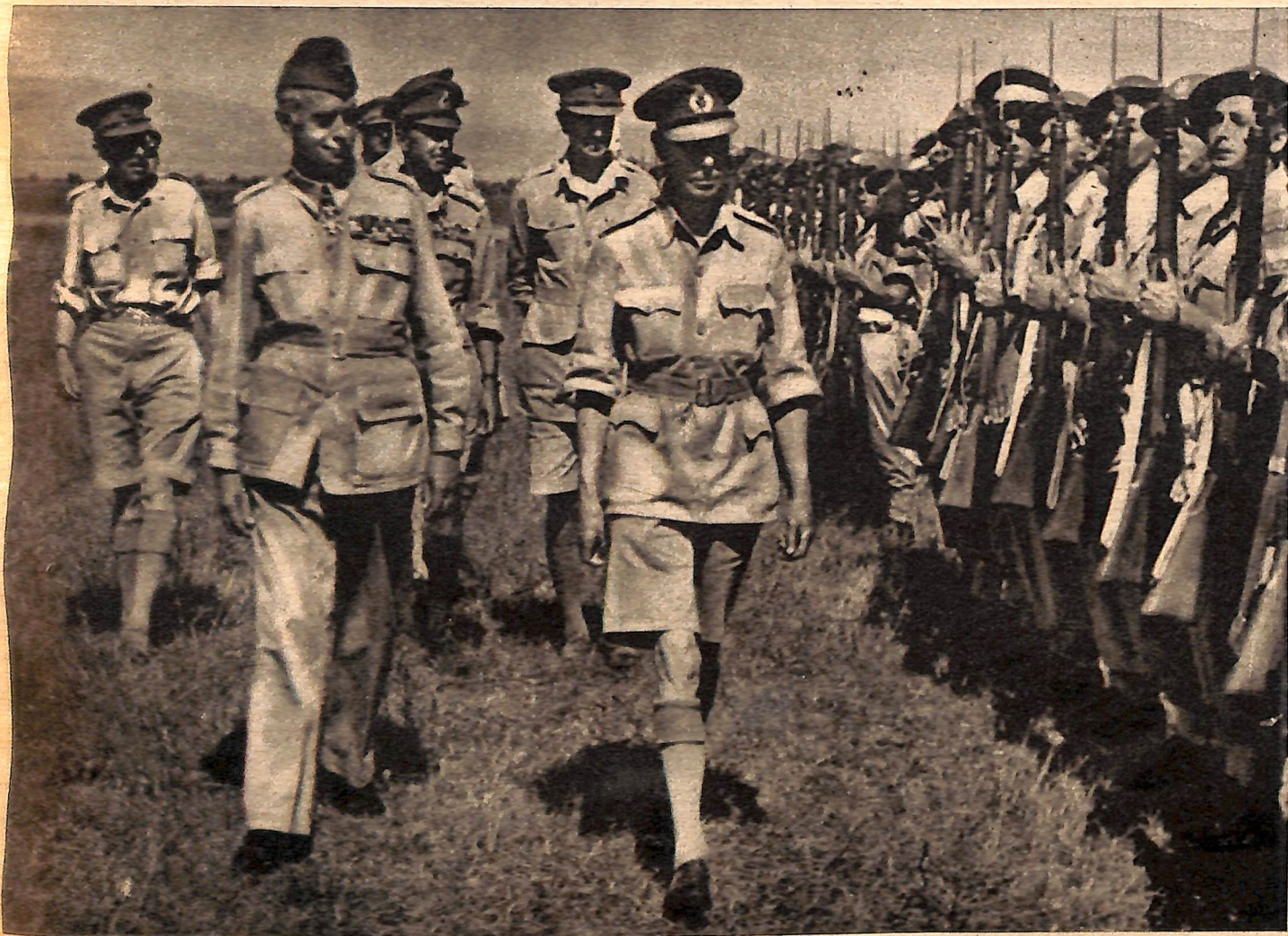
dowódcy VIII Armii. Czwarty wóz wiezie dowódcę Korpusu, piąty dowódcę Dywizji. Niemałą sensację wzbudza wóz szósty. Jest to zakurzony Jeep, wyładowany betami o pogiętych blachach. Cały szpaler, nastrojony na uroczystą nutę wybucha na jego widok spazmatycznym śmiechem.

Tym wozem jadę ja.

Jadę, ale nie ja ponoszę winę. Mój szef człowiek niezachwianej decyzji, uparł się by wrócić tą stroną jeziora. A mówiłem mu przecież, że lepiej będzie jechać południową szosą.

Dobrze nam tak! Ostatecznie dobrniemy jakoś do Perugii, a po drodze bę-

J. K. M. Król Jerzy VI w towarzystwie Naczelnego Wodza Generała K. Sosnkowskiego, Generała Wł. Andersa i Generała Sir H. Alexandra — przechodzi przed frontem polskich oddziałów

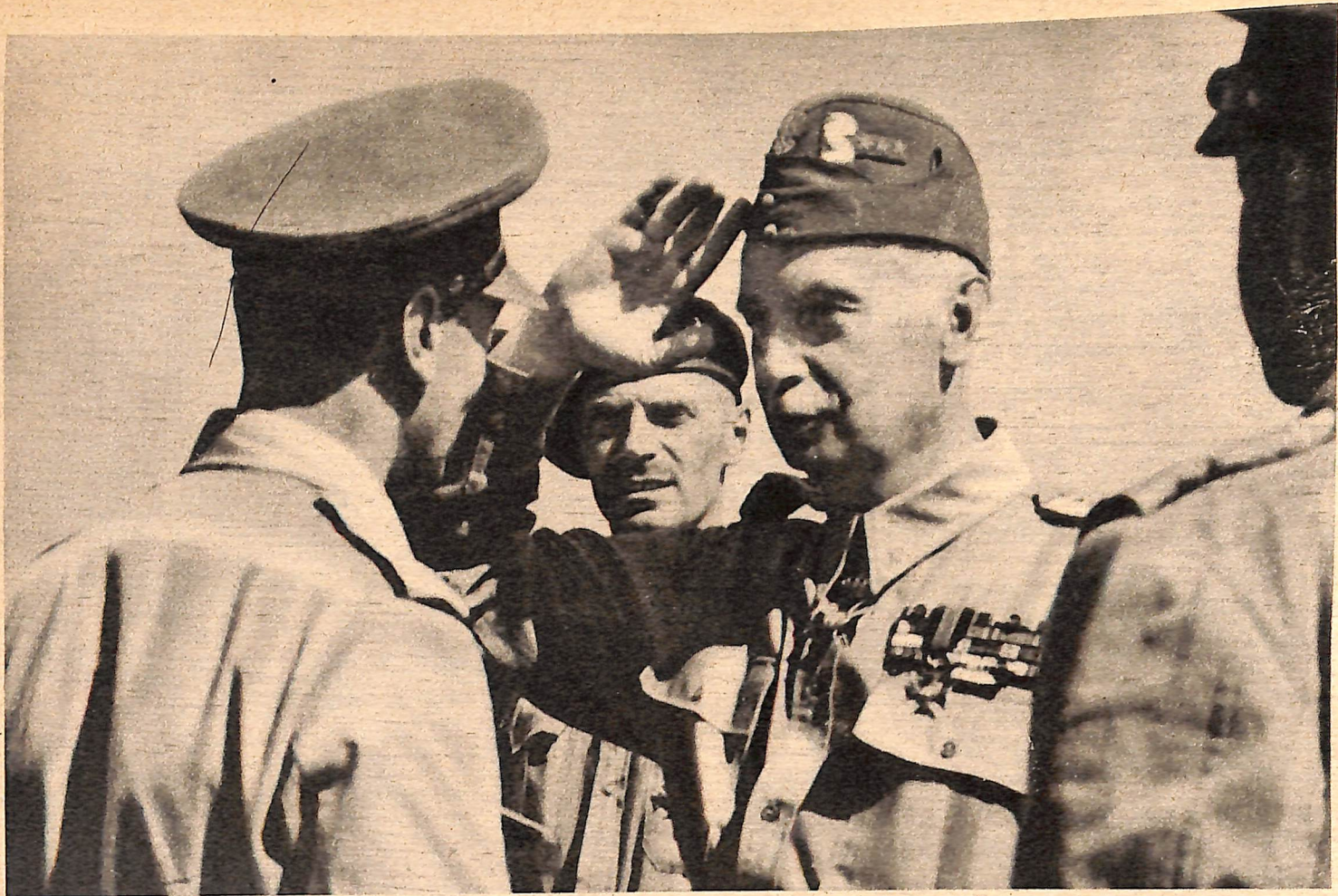


NASZA OKŁADKA



Amerykańska plechota w Normandii

Fot.: U. S. Office of War Information



Powitanie J. K. M. Króla Jerzego VI przez Naczelnego Wodza Generała K. Sosnkowskiego, oraz Dowódcę 2 Korpusu Generała Wł. Andersa

dzie dość czasu, aby uporządkować w pamięci dzisiejsze zdarzenia.

Wizyta królewska materializowała się w naszych umysłach przez kilka dni. Anglicy informowali zagadkowo o przybyciu jakiejś wysoko postawionej „osobistości” i o przeglądzie, który ma nastąpić gdzieś daleko i o przedstawieniu niektórych polskich oficerów tej osobie. Ani termin, ani miejsce nie były ujawniane. Czas płynął. Do ogólników dodawano codziennie nowe szczegóły. W dniu wyjazdu z dywizji wiedzieliśmy, że czeka nas defilada przed królem angielskim.

Jechaliśmy do Perugii, bo tak nam kazano.

W Perugii Anglicy byli bardzo uprzejmi. Przysięgłbym, że każdy Anglik na posterunku był doskonale poinformowany, co się dzieje. Zaden jednak nie wypuścił pary z ust. „Czy będzie tu jaka uroczystość?”. „Nie, nie będzie”. „Czy szykuje się coś w okolicach?”. „Nie

wiem”. „Gdzie Polacy, którzy przejechali kolumną przez miasto?”. „Nie wiem”.

Trzeba przyznać, że od Anglików można uczyć się dyskrecji i przestrzegania tajemnicy wojskowej. Wojna nauczyła ich dyskrecji.

Oszczędzę czytelnikom opisu naszych perypetyj. Dodam tylko, że dalsza droga wiodła malowniczymi brzegami jeziora Trazymeńskiego, w którym nasi dywizyjni optymiści upatrywali miejsce odpoczynku dla żołnierzy po zdobyciu Ancony. Oglądamy łagodny pejzaż okolic błękitnego jeziora, jak marzenie, które się nie ziści. Tablice przydrożne informują, że jest tutaj rejon wypoczynkowy angielskiego korpusu. Ano, trudno...

Uroczystości wojskowe mają to do siebie, że wciąż występują w nich ci sami aktorzy, jedynie dekoracje ulegają zmianom. Zobaczymy tych samych dowódców i żołnierzy, jedynie w innej oprawie. Zgodnie z odwiecznym wojskowym porządkiem rzeczy, dowiadujemy

się, że jest jeszcze kilka godzin czasu, ponieważ uroczystość została przełożona na później. Wojsko, rzecz oczywista, jest na miejscu i ćwiczy próbną defiladę. Ponieważ jest gorąco, robię to samo, co każdy z czytelników uczyniłby na moim miejscu — rozglądam się za obiadem i idę kąpać się w jeziorze.

„Szybko, szybko baśń się baję, ale wolno rzecz się staje”. Jest już czwarta po południu, żołnierze cierpliwie czekają na dalszy bieg wypadków. Gen. Anders i gen. Sosnkowski dokonują kolejno przeglądów oddziału. Obok namiotu reprezentacyjnego zebrał się Anglicy. W zachowaniu ich nie wyczuwa się żadnego podniecenia. Sa to przeważnie wyżsi oficerowie, brygadierzy i pułkownicy, którzy po raz pierwszy mają być przedstawieni swemu monarsze. Każdy z nich jest ubrany inaczej.

W pewnej chwili ukazuje się nad lotniskiem wielki samolot pasażerski, który wywołuje u zebranych dreszcz emocji.

— Leci, leci...

Fałszywy alarm! Samolot przywozi kilku fotoreporterów, co polscy fotografowie przyjmują raczej kwaśno. Jak wiadomo, operatorzy amerykańscy mają zwyczaj pchać się przed twój aparat, w momencie, gdy zdejmujesz.

Około w pół do piątej inny samolot ukazuje się nad głowami. Teraz już nie ma wątpliwości. Zaczyna duże koło i siada miękko na polu startowym. Równocześnie Jeep z przyczepionym z tyłu transparentem „Follow me” wyjeżdża naprzeciw.

— Gentlemen, the King is among us.

— Panowie, Król jest wśród nas.

Stalowy ptak wjeżdża na środek lotniska. Wojsko zastęga w bryłę geometryczną. Jedynie sztandar Dywizji Karpackiej odcina się barwną plamą od monotonii mundurów.

Tymczasem król wysiadł już z samolotu i wita się z Naczelnym Wodzem i gen. Andersem. Obok stoi gen. Alexander — czarujący gentleman, ulubieniec żołnierzy. Uwaga skupia się jednak tym razem na osobie króla. Znamy go dobrze z ilustracji i filmu, ale patrząc na żywą osobę robi się zawsze szereg nowych spostrzeżeń. Król jest średniego wzrostu, o obejściu nacechowanym prostotą. Posiada dużo bezpośredniości, choć obserwując dokładnie, dostrzega się też i rezerwę, potrzebną w pewnych momentach.

Ubiór króla Jerzego VI nie różni się niczym od ubioru każdego angielskiego oficera: koszula, szorty, brązowe trzewiki. Na piersi królewskiej nie widać żadnych odznaczeń. Jedynie czapka generalaska na głowie jest mocniejszym akcentem tego skromnego ubioru.

Król podszedł do grupy wspomnianych wyżej oficerów angielskich i z każdym zamienił uprzejmie kilka zdań. Aktu prezentacji dokonywał gen. Alexander. Oficerowie odpowiadali Królowi w postawie na bacność, każdy inaczej, jedni niesłychanie sztywno i z przejęciem, drudzy zupełnie swobodnie.

Z kolei Jego Królewska Mość w towarzystwie generałów Alexandra, Sosnkowskiego i Andersa udał się ku prezentującej broń brygadzie (wyłonionej z oddziałów Korpusu) celem dokonania przeglądu. W tym momencie usłyszeliśmy dźwięki hymnu brytyjskiego, a po nim polskiego. Wszyscy, z Królem na czele, znieruchomieli, salutując. Jedynie ekipa fotograficzna, wśród niej i ja, uganiała się jak opętana. Migawki trzaskały jak karabiny maszynowe. Musiało to robić fatalne wrażenie.

Gdy Król przechodził przed frontem pierwszej z kompanii, nasza czereda już obstała dogodnie miejsca do uwiecznienia Króla, salutującego sztandar Dywizji Strzelców Karpackich. Paru „przebojowców”, pchających się na przód metodą „po trupach do celu” odstawiliśmy energicznie do dalszych rzędów.

Monarcha zasalutował sztandar, który pochylił się przed nim trzykrotnie. Zatrzymał się tak daleko od sztandaru, że stojący bliżej fotografowie musieli wybierać Króla lub sztandar. Niejeden przeżył wówczas cichą tragedię.

Przeгляд skończył się i Król podszedł do grupy polskich oficerów, którzy mieli być mu przedstawieni. Monarcha przez kilka minut rozmawiał z dowódcą Dywizji Karpackiej gen. Duchem, po czym zamienił po kilka słów z każdą z osób. Znow pstrykały migawki (oprócz mojej — film właśnie się skończył) i przeskoczyły przysłuchiwać się rozmowie. Każdego z oficerów Król wypytywał, czy zna Anglię i gdzie walczył w tej wojnie.

Na zakończenie wizyty Króla wśród Polaków odbyła się defilada. Maszerowały delegacje Korpusu, a za nim delegacje oddziałów brytyjskich, współdziałających z nami w operacjach pod Anconą.

Król stanął na czerwonym kobiercu, a przed nim ustawiła się orkiestra, grając „Warszawiankę”. Jako fotograf byłem już poza konkursem, więc przyglądałem się defiladzie. Wszyscy szli pięknie, i karpatczycy, i kresowiaczy, i pancerniaczy. Na końcu maszerowały oddziały angielskie. Orkiestra przyspieszyła tempa, żeby lepiej szło się naszym sojusznikom, a ja pomyślałem wtedy, że jestem świadkiem zdarzenia, którego jeszcze nigdy nie było w historii Wielkiej Brytanii.

Oto żołnierze brytyjscy Jego Królewskiej Mości maszerowali przed swym suwerennym brytyjskim monarchą przy dźwiękach „Warszawianki”.

Zastępca Dowódcy Wojsk Sprzymierzonych w strefie Morza Śródziemnego Generał J. L. Devers, dekoruje Dowódcę 2 Korpusu Generała Wł. Andersa, na placu We-neckim w Rzymie, komandorią amerykańskiego orderu „Legion of Merit”



J. K. M. Król Jerzy VI w rozmowie z Dowódcą 2 Korpusu Gen. Wł. Andersem



U DOWÓDCY VIII ARMII

Droga do kwatery głównej gen. Leese wiodła przez kwatery prasową VIII Armii. Tutaj, w górzystej okolicy, daleko na północ od Orvieto, wśród nieustannego huków dział, dochodzącego z pobliskich szczytów i dolin, przy akompaniamencie warkotu samolotów, regulujących ogień artylerii, czekałem na wyjazd do dowódcy VIII Armii.

Wreszcie wyruszyliśmy. Jechał ze mną szef „Public Relation” na Włochy, pułk. Astley. Skierowaliśmy się od razu na północ, jeszcze bliżej linii frontu. Dowódca VIII Armii lubi być blisko swych walczących żołnierzy i samemu obserwować przebieg walk. Niemal z reguły rozbija swą kwaterę o 4—5 km od linii. W miarę jak zbliżaliśmy się do celu, huk dział potęgował coraz bardziej. Droga, trzeciorzędna zaniedbana szosa, była w opłakanym stanie. Najprawdopodobniej już przedtem nie należała do najlepiej utrzymanych, a ostatnio bombardowania powietrzne, pociski artylerii i przejazdy ciężkich czołgów uczyniły z niej coś godnego pożalowania.

Mijaliśmy nie kończące się kolumny samochodów z wojskiem, czołgi i działa. Wioski i miasteczka, przez które przejeżdżaliśmy, były prawie zupełnie wyludnione. Z rzadka tylko spotykaliśmy gromadkę wystraszonych mieszkańców, przypatrujących się w milczeniu kolumnom zmotoryzowanych wojsk i nasłuchujących z niepokojem bliskiego grzmotu dział. Na każdym kroku znać było ślady niedawnych, zaciętych walk. Porozbijane niemieckie czołgi z czarnymi krzyżami na białym polu, ciężarówki z rejestracyjnymi znakami Wehrmachtu „WH”, stopy skrzynek z amunicją, straszkane działa leżały na skraju drogi i utrudniały przejazd.

Znaleźliśmy się u celu. Kwatera główna gen. Leese znajdowała się na wysokim, nagim wzgórzu, z którego rozciągał się wspaniały widok na okoliczne szczyty. Obóz kwatery był niewielki i niepozorny. Ani śladu w nim nie było ogromu ani komfortu kwatery gen. Andersa. Odybym nie wiedział, że jest to siedziba dowódcy VIII Armii, nie byłbym się tego domyślił. Raczej przypuszczać było można, że to kwatera dowództwa dywizji lub nawet brygady. Kilka wozów dowodzenia i łączności, parę namiotów — to wszystko. Siekł ostry, dokuczliwy deszcz i wiał silny, porywisty wiatr od gór. Ciemne chmury przewalały się tak nisko nad naszymi głowami, że zdawało się chwilami, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by ich dotknąć. Działa grzmiły bez przerwy.

W kwaterze głównej zastaliśmy paru angielskich i amerykańskich korespondentów wojennych, przybyłych tu na codzienną konferencję prasową. Na konferencjach tych oficerowie sztabu gen. Leese udzielają prasie wyjaśnień na temat operacji z dnia poprzedniego. Po każdej z nich idą w świat krótkie informacje o tym, że wojska VII Armii zajęły takie to i takie miejscowości, wzgórze lub niemieckie punkty oporu, przekroczyły taką a taką rzekę, wzięły tyle i tyle jeńców. Telegramy te cenzurowane są na miejscu, w kwaterze prasowej VIII Armii i natychmiast wysyłane z miejscowego „Signal-Office”.

Dokoła jednego z wozów dowodzenia, mieszczącego Oddział Operacyjny, zgromadziła się niewielka grupa korespondentów. Wyższy oficer sztabowy objaśnia wczorajsze operacje. Na zewnętrznej ścianie wozu zawieszono dwie ogromne mapy sztabowe, pokryte celofanem. Niebieskie, czerwone i zielone linie, strzałki, liczby pokrywają znaczną część celofanu. Oficer zaczyna od II Korpusu polskiego. Na odcinku adriatyckim — sytuacja bez zmian. Na odcinku N-tego korpusu, bardziej ku zachodowi, wykonano wczoraj udany atak. Posunięto się o parę kilometrów naprzód w trudnym terenie górzystym, wzięto jeńców i działa. M-ty korpus oraz dywizje znajdują się w ciężkich walkach z kontratakującym zawziętym nieprzyjacielem. Żadne ważniejsze zmiany nie zaszły ostatnio na ich odcinku. Nowo-Zelandczycy i Południowo-Afrykańczycy posunęli się wczoraj znowu naprzód, lecz opór nieprzyjaciela jest na-

dal silny. Każdy odcinek objaśniany jest od razu na mapach. Nawet laik zrozumie wszystko.

Po skończonej konferencji korespondenci odjeżdżają. Do pułk. Astley i do mnie podchodzi oficer do zleceń gen. Leese, mjr W. i oświadcza, że dowódca VIII Armii prosi. Wchodzimy do wozu generała, czegoś w rodzaju komfortowego saloniku. Stoi w nim biurko, dwa fotele, stół. Ściany są ozdobione rzeźbionymi w drzewie, barwnymi odznakami wszystkich dywizji, jakie kiedykolwiek wchodziły w skład VIII Armii. Są między nimi i odznaki II Korpusu polskiego i jego dywizyj.

Gen. Leese wygląda zadziwiająco młodo. Można by założyć się, że nie ma więcej, niż czterdzieści lat. Fotografie prasowe starzeją go i nie są naogół wierne. Jest to przystojny mężczyzna, wysoki, ciemnowłosy, o czarnych, energicznych i wyrazistych oczach, w których przejawiają się jednak prześliski humoru. Jest bardzo naturalny, mówi jasno i zwięźle, śmieje się często i chętnie.

Rozmawialiśmy z gen. Leese o wojskach polskich we Włoszech i obecnym położeniu na froncie VIII Armii. Zanim przystąpiliśmy do rozmowy, generał pokazuje, na swym prawym ramieniu, odznakę II Korpusu polskiego. „Właśnie otrzymałem ją z rąk gen. Andersa”, oświadcza mi. „Odwiedziłem wasz korpus na odcinku adriatyckim, bawiłem w kwaterze głównej gen. Andersa, który doręczył mi tę odznakę podczas śniadania. Widziałem wasze oddziały. Idą one naprzód. Zresztą, VIII Armia idzie zawsze naprzód. Nie cofa się nigdy”.

Gen. Leese ceni bardzo wysoko żołnierzy polskich we Włoszech oraz ich dowódcę, gen. Andersa. „To doskonali żołnierze”, rzekł mi, „pełni odwagi i inicjatywy. Pod Monte Cassino pokazali oni, co potrafią. Pozycja ta, a zwłaszcza szczyty okoliczne, były niezmiernie trudne do zdobycia. Niemcy usadowili się na nich dobrze i bronili się doskonale w swych „pillbox’ach”. Piechota polska nacierała z brawurą i biła się wspaniale. Artyleria wasza była umiejętnie rozmieszczona i



W pięknej willowej dzielnicy Rzymu znajduje się ulica Marszałka Piłsudskiego. Przy tej ulicy w parku — postument Marszałka dłuta rzeźbiarza Kuny, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W czasie swego pobytu w Rzymie Naczelny Wódz Generał K. Sosnkowski złożył hołd Wielkiemu Marszałkowi. Dnia 28 lipca o godz. 17, w obecności delegacji żołnierzy 2 Korpusu oraz licznie zgromadzonej miejscowej Polonii odbyło się złożenie wieńca przez Naczelnego Wodza u stóp pomnika.

dobrze zakamuflowana, a jej akcja okazała się wyjątkowo skuteczna. Poniosła ona przy tym stosunkowo lekkie straty. O, tak, to był piękny dzień dla Polaków, gdy ich chorągiew zawisła, obok Union Jack, na szczycie Monte Cassina.

Znaczna część zasługi tego zwycięstwa przyniósł bezwarunkowo gen. Andersowi. Jest dowódcą dzielny, doświadczony, zdolny do szybkiej decyzji. Trzyma on doskonale swych żołnierzy w garści. Jestem bardzo zadowolony, że mogłem poznać go osobiście i stosunki nasze są bardzo przyjazne”.

Rozmawialiśmy następnie o ostatnich operacjach na froncie VIII Armii. „Walki z dni ostatnich były znowu ogromnie ciężkie”, stwierdza gen. Leese. „Niemcy bronią się zrećnie i zaciekle. Trzeba przyznać, że biją się dobrze. Zresztą — i tu dowódca VIII armii prosi, bym wyszedł z nim z wozu i pokazuje ręką okoliczne góry — widzi pan sam, jak trudny jest teren i jak znakomicie nadaje się do obrony. Teren ten sprawia nam największe trudności. Trzeba dać czytelnikom dokładny obraz tych trudności. Trzeba, by zrozumieli, co znaczy walczyć w tych górach, wąwozach i lasach. Trzeba, by pojęli wysiłek naszych wojsk. Czy potrafi pan jednak dać im należyte pojęcie?” — i tu gen. Leese zaczyna się śmiać.

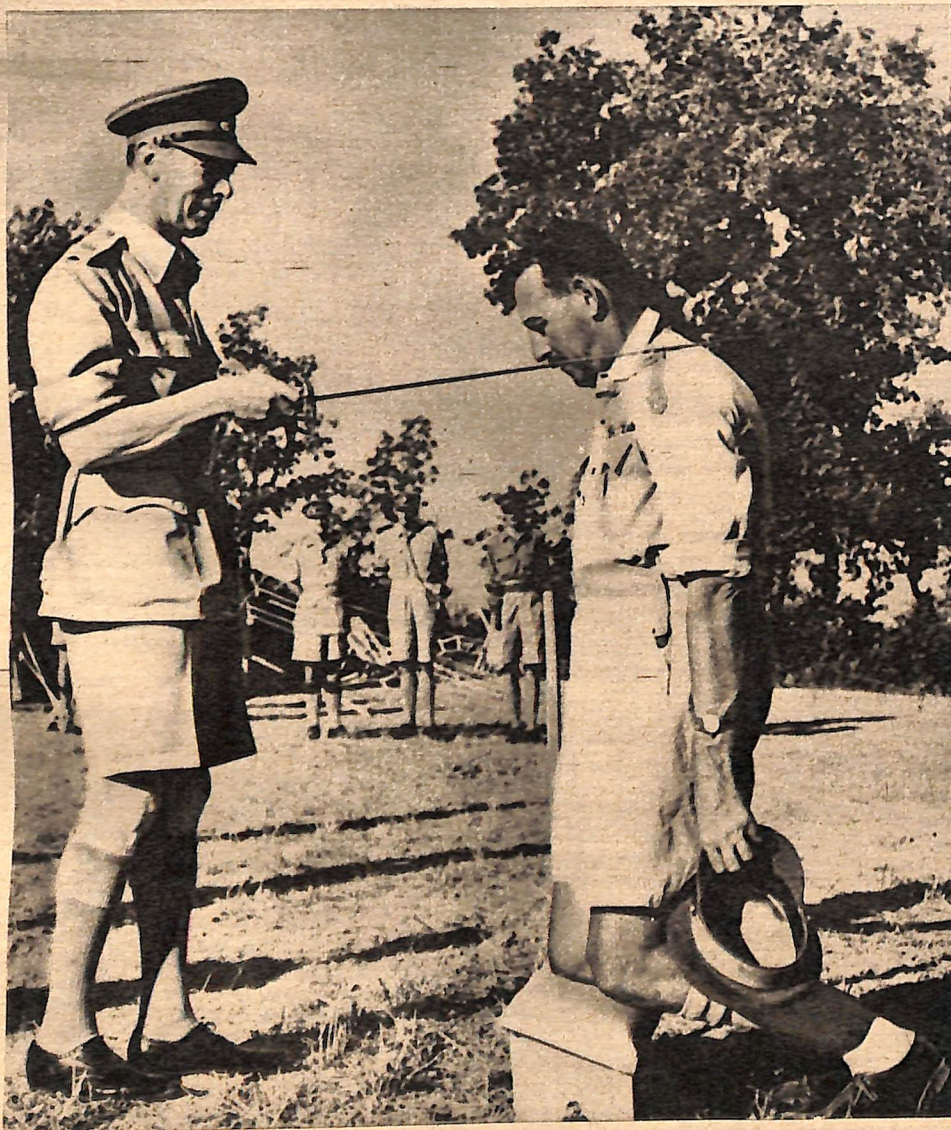
Roześmiałem się także. „Nie wiem, czy potrafię, panie generale. Sądzę raczej, że nie”.

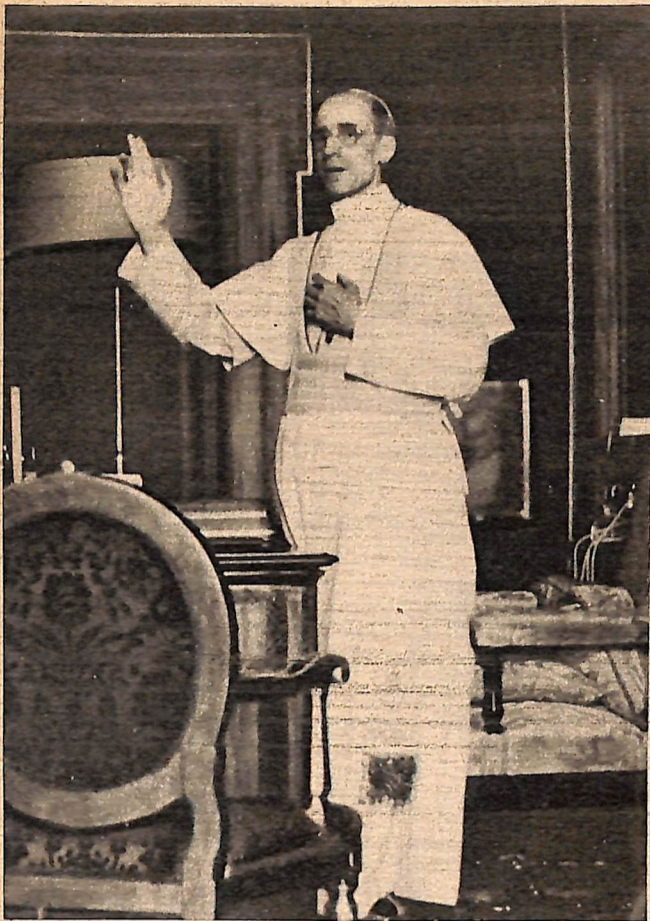
Odpowiedź moja nie była żartem. Gdyż w istocie, trzeba widzieć na własne oczy łańcuchy górskie, aby mieć pojęcie o bohaterstwie, sile woli i wytrwałości żołnierzy VIII Armii, którzy w tych warunkach potrafili zwyciężyć.

Wkrótce potem spotkałem gen. Leese w kwaterze głównej gen. Andersa, na wybrzeżu adriatyckim. Było to następnego dnia po zdobyciu Ancony. Na pierwszą wieść o tym sukcesie dowódca VIII Armii przybył do II Korpusu, by wraz z nami radować się z powodu tego zwycięstwa. Wsiadłszy z samochodu, podszedł do gen. Andersa i uściśnął mu serdecznie dłoń. „To było wspaniałe, generale”, rzekł głośno. „Winszuję panu. Chcę wiedzieć wszystkie szczegóły. To był prawdziwy wzór operacji wojskowej”. W oddali wciąż grzmiły działa, jednak już słabiej, niż poprzedniego dnia. Oddziały polskie ścigały resztki rozbitej 278. dywizji niemieckiej gen. Hoppe.

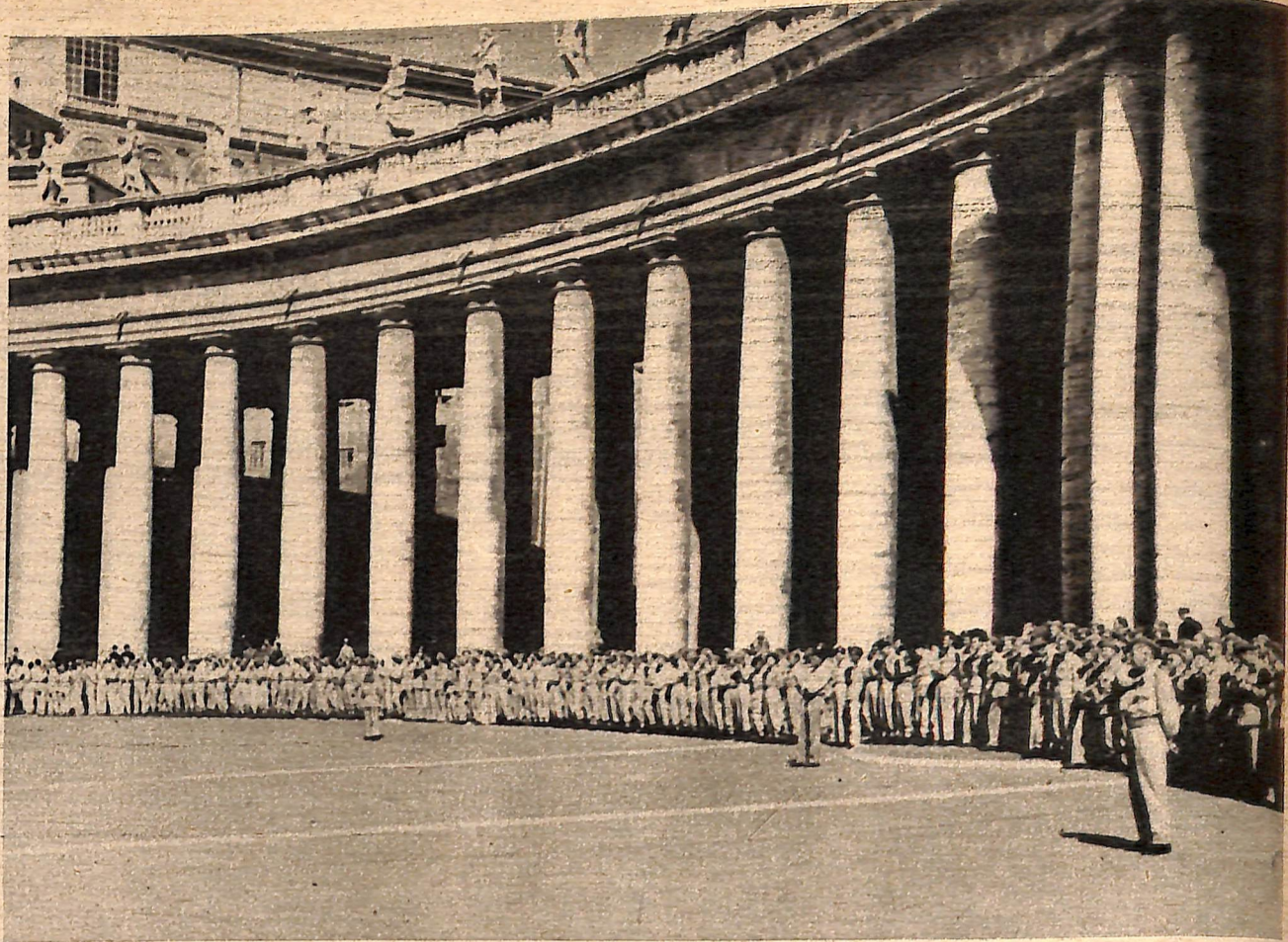
ROMAN FAJANS

J. K. M. Król Jerzy VI dokonuje aktu „pasowania” Generała Sir Olivera Leese’a — w związku z nadaniem mu tytułu Sira





Ojciec Święty Pius XII udziela błogosławieństwa Naczelnemu Wódzowi, żołnierzom polskim i Polsce



Delegacja 2 Korpusu oczekuje pod Kolumnadą Berniniego na przybycie Naczelnego Wodza

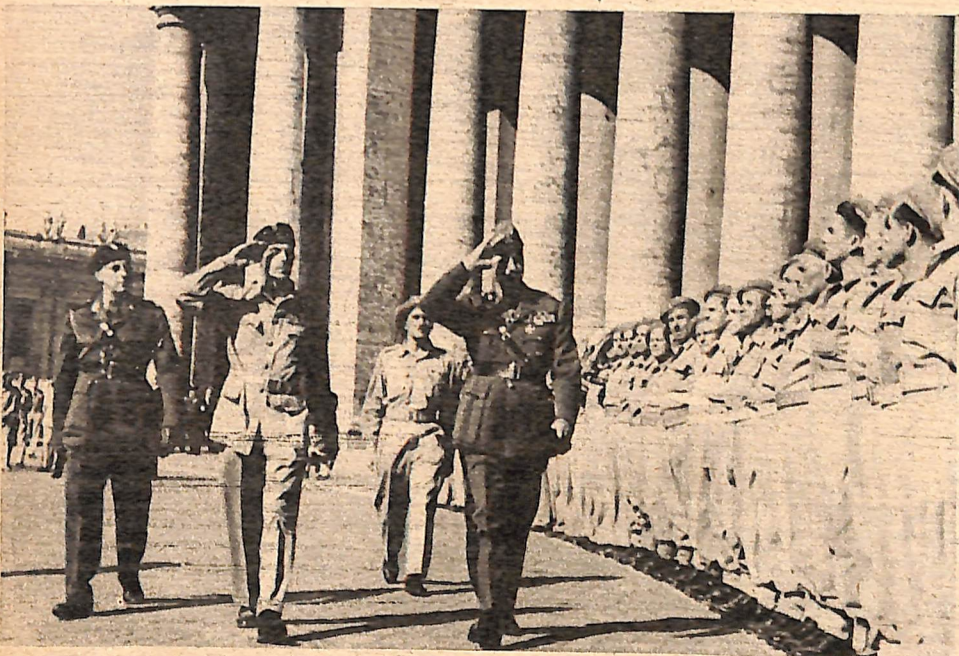
Żołnierz polski u Ojca Świętego

W sali Konsystorskiej przed audiencją u Ojca Świętego. Siedzą od lewej: Generał Dyw. Wł. Anders, Nuncjusz Cortesi, Generał Broni K. Sosnkowski, Ambasador Papee, Ks. Biskup Gawlina, Ks. Prałat Cieński



Naczelnny Wódz Generał K. Sosnkowski w towarzystwie Dowódcy 2 Korpusu Generała Wł. Andersa dokonuje przeglądu delegacji

Ojciec Święty wita się z jednym z polskich oficerów



Dzień 28 lipca br. był polskim dniem w Watykanie: papież przyjmował „na specjalnej i uroczystej audiencji” delegację Wojska Polskiego, prowadzoną przez Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, któremu towarzyszyli gen. Anders, Ks. Bp. Gawlina, amb. Papee i liczna świta. Sama audiencja miała przebieg niezwykły. Wolno twierdzić, że od wielu wieków niczego podobnego nie widział plac św. Piotra i czcigodne sale pałacu Watykańskiego.

Więc najpierw kilkuset ludzi licząca delegacja Korpusu, reprezentująca wszystkie te świetne, świeżą sławą okryte jednostki, ustawiła się w porządkowy oddział pod kolumnadą placu św. Piotra i przyjmowała Naczelnego Wodza, obyczajem wojskowym — raportem i chóralnym „czotem panie generale”.

W sali klementyńskiej naprzeciw drużyny Szwajcarów papieskich płk. P., dowódca całości, ustawił swój batalion w zwarty czworobok i — rzecz niestety chana — w chwili, gdy papież wchodził na salę, odezwały się wprawdzie jakieś oklaski przypadkowo zabłąkanych na audiencję cywilów, ale przysłuszyły je zaraz głośnie komenda „baczność”, na którą aż wzdrzygnęły się nie przyzwyczajone do wojskowego sposobu oddawania honorów postacie prałatów. A kiedy po błogosławieństwie papieskim Dowódca Korpusu zaintonował „Boże coś Polskę”, mury Watykanu zdrząły od śpiewu tak potężnego, jaki tylko oddział wojska polskiego wykonać potrafi.

Ojciec Święty przywitał żołnierzy polskim: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, na które sala odpowiedziała gromkim: „na wieki wieków”. Papież mówił długo, prosto i z wyraźnym wzruszeniem, o swej miłości dla Polski, o niezaprzeczalnych jej prawach do całego miejsca, jakie się naszemu narodowi należy i o swej niezłomnej nadziei na szczęśliwą przyszłość. Głęboki optymizm i przekonanie, że nieszczęścia nasze się kończą, były tej mowy najbardziej charakterystyczną cechą. Odchodząc, Pius XII zawołał po polsku: „Z Bogiem do Polski!” Mowa wywarła wielkie wrażenie i kiedy Ks. Biskup Polowy Gawlina wznosił okrzyk na cześć papieża, wojsko podniosło go z zapamiętaniem i przekonaniem.

Po publicznej audiencji Ojciec Święty zatrzymał Naczelnego Wodza przez blisko trzy kwadransy na rozmowie prywatnej. Następnie Ks. Biskup Polowy odprawił przy katedrze św. Piotra w Bazylice Watykańskiej Mszę św., na której obecny był Naczelnny Wódz z generalicją i całą delegacją. W czasie Mszy żołnierze śpiewali polskie pieśni i majestatyczne tony naszych hymnów religijnych wypełniły olbrzymią przestrzeń największej świątyni świata.

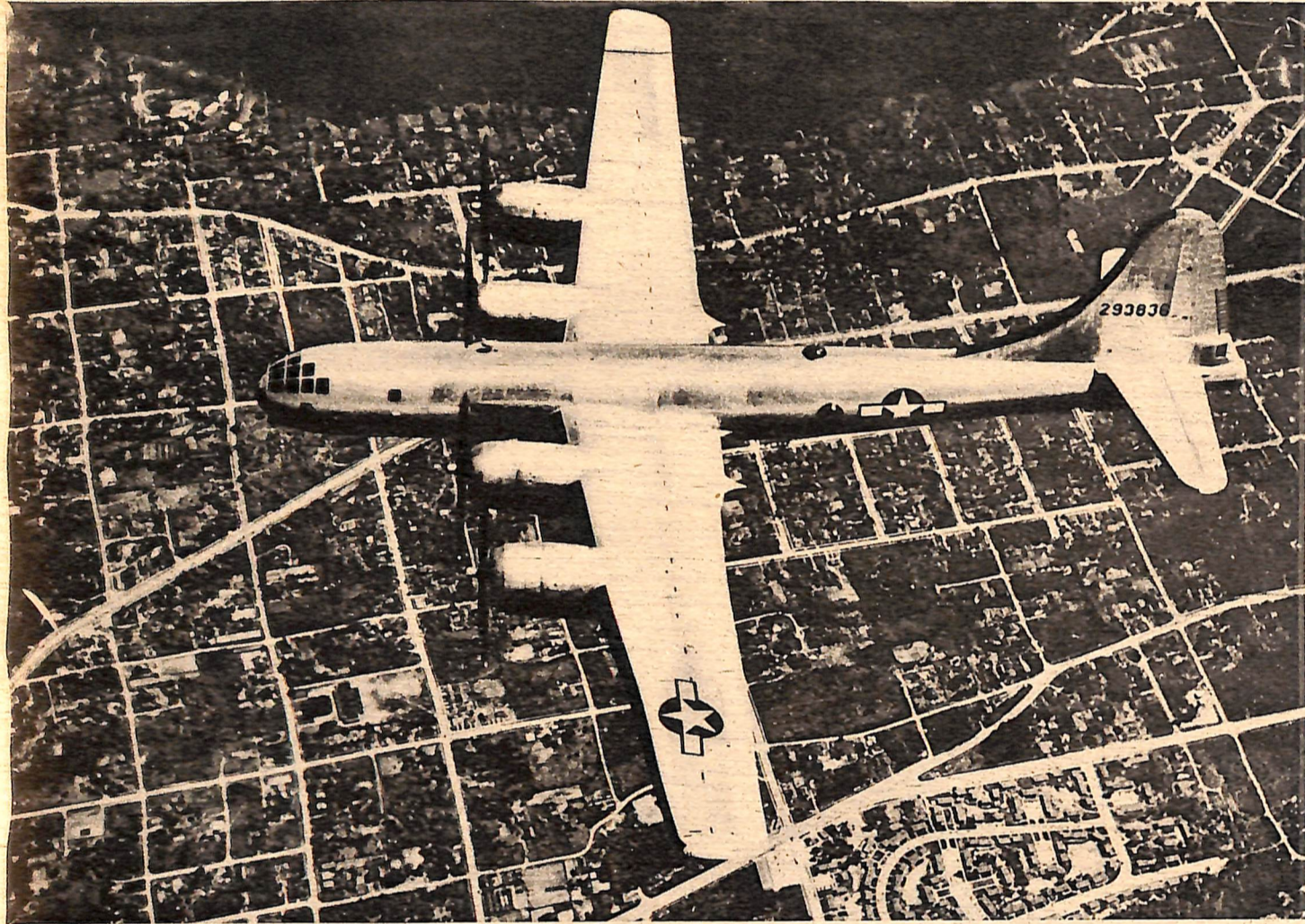
I. M. Bocheński O. P.



Walki na przedmieściach Florencji. Partyzanci włoscy wspomagają VIII Armię w akcji oswobodzenia miasta



Cherbourg jest dziś olbrzymią stacją przeładunkową jeńców niemieckich. Tysiące Niemców czeka na swą kolej, aby w piątym roku wojny wylądować wreszcie w Anglii...



B-24 — „Superforteca Latająca”. Jest to jeden z najpotężniejszych bombowców świata. Może on przelecieć Atlantyk i bez lądowania powrócić do Ameryki. B-24 jest półtora raza większy od normalnej „Fortecy Latającej”. „Superforteca” wyposażona jest w cztery motory o łącznej sile 8.800 koni mechanicznych

We
Włoszech
 i
 we
Francji

Ludność cywilna pomaga przy sortowaniu zdobytego materiału wojennego



We wszystkich miastach i miasteczkach Normandii i Bretanii uwolnionych od Niemców pojawiają się na murach afisze wydawane przez sojusznicze Biura Informacyjne

Jedno z niemieckich dalekonośnych dział na wybrzeżu Bretanii zniszczone ogniem marynarki brytyjskiej



KOMENDANT ARMII KRAJOWEJ do NACZELNEGO WODZA

Komendant Armii Krajowej przesłał Naczelnemu Wodzowi w dniu 25 lipca br. następujący telegram:

*„Wyróżniony przez Pana Generała awansem na generała dywizji i odznaczeniem orderu Virtuti Militari IV klasy, czuję się w obowiązku zameldować Panu Generałowi, że to tak wysokie wyróżnienie rozumiem jako odznaczenie przez moją osobę wszystkich żołnierzy, którzy stoją pod moimi rozkazami, ich bo-
wiem postawie w pracy i poświęceniu zawdzięczam osiągnięcia Armii Krajowej.*

Wyróżnienie to zobowiązuje nas wszystkich do tym wydatniejszej pracy.

Ja ze swej strony zapewniam Pana Generała, że pełniąc funkcję Komendanta Armii Krajowej dam z siebie wszystko w miarę moich możliwości”.



Generał Broni Kazimierz Sosnkowski
Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych



ARMIA KRAJOWA W



Zbiórka ↓

Na postoju

uszy i usta Polski Podziemnej. Bez nich walczący kraj byłby głuchoniemy. Nadać... przyjąć... uskoczył! Oto gra Sekundy decydują. Na szczęście nie zawsze można liczyć. Stawką w tej „ciuci-babce” jest życie. I więcej niż życie.

Klucz aparatu klekocze pośpiesznie. „Wyrzut” dobiega końca.

Za oknem pokoju — słoneczny ranek marcowy. Przy oknie trzech ludzi z bronią w rękę. Patrol O. S. Ostona. I co za patrol! To ci sami „morowcy”, którzy niedawno zlikwidowali niemiecką stację pomiarową, ukrytą w fabryczce na Gocławku. Ta stacja, wyposażona w przeszło 30 najprecyzyjniejszych aparatów, ciężko dawała się we znaki łączności Kraju z zagranicą. Opanowano ją, kładąc trupem specjalistów niemieckich. Prawdziwie w ostatniej chwili. Na trzy dni przed terminem przeniesienia jej na Poznańską (Cent. Telekomunikacyjna). Dla Niemców była to strata niepowetowana. Berlińska fabryka aparatów pomiarowych leży w gruzach...

Wyrzut skończony. Teraz odbiór.

Ale wtem... z pustej ulicy nadlatuje warkot motorów. Zbliża się. Urywa. Tuż — tuż. — Podjazd?...

Huk piorunujący. Szyby dygoczą, tynk sypie się na głowy i aparat. Podjazd. Czujka wybuchem granatu alarmuje radiostację i zatrzymuje nadbiegających Niemców. Coś się z ulicy do domu. Wbiega na piętro. Łańcuch zielonych mundurów rozsypuje się wśród małych kamieniczek. Z okna szczytowej ściany widać obydwie ulice, od frontu i oficyny. I tu i tu podsuwa się łańcuch obławy.

Zdrada?... Niemcy obstawiają dom, jakby polowali na upatrzonego. Tym razem byli szybsi. Jedna grupka podbiega pod okno. Wyrwywają granaty zza pasów.

— Precz z pokoju — woła dowódca ostony. Klucz aparatu rzuca ostatni sygnał w przestrzeń. Dramatyczny znak „Jestem zagrożony, koniec rozmowy”. Ktoś daleki o setki i tysiące kilometrów drżącą

ręką zanotował te słowa. Technik zrywa się od aparatu. Jego zadanie skończone. Głos ma już tylko ostona.

Niemcy wtargnęli do domu. Łomoczą podkute buty po schodach, po korytarzu. Dowódca ostony, ciągnąc technika za sobą, przebiega z pokoju do kuchni. Przypadają do ścian po obu stronach drzwi. Reszta ostony przyczajona w pokoju, Broń w rękę. Zimny spokój.

Potężny cios podkutych butów wywala drzwi z zawiasów. Przez rozbite deski wsuwa się czerwona łapa. Strzał. I łapa zwiśla, trafiona kulą technika. Zamieszanie i wrzaski. Nie wejść.

Dowódca ostony podaje granat ręczny. Sam mierzy z pistoletu automatycznego. Granat leci na korytarz. Najpierw łomot pośpieszny ucieczki, a potem ogłuszający huk. Spóźniony. Niemcy, porwawszy ranego ze sobą, zdążyli zwiąć. Dowódca ostony i technik wypadają za nimi. Serię z pistoletu maszynowego spędzają ich ze schodów.

Wtem... Trzęsienie ziemi?... Potworne eksplozje zdają się rozrywać dom na strzępy. Huraganowy podmuch rzuca

W ostonie

Już od godziny trwa „gra” na punkcie R. Małecki radioaparat nadawczo-odbiorczy klekocze cicho na stoliku w głębi pokoju. Sygnały „Morsea” niosą szyfrowany tekst depezy wojskowych, gdzieś do jakiejś pośredniej stacji Armii Polskiej w Algierze, Kairze czy Marokku. Technik schylony nad aparatem wie tyle, że żądana stacja zgłosiła się, że trzeba jak najszybciej „wyrzucić” cały materiał własny i przejść z kolei na odbiór, przyjmując informacje i rozkazy dla Armii Krajowej.

Pośpiech, pośpiech! Każdej chwili można się spodziewać „podjazdu” niemieckiego. Jak zawsze w tej służbie.

Niemieckie stacje podsłuchowe i pomiarowe pracują bez wytchnienia. Łowią fale uruchomionej radiostacji, ustalają jej położenie metodą radiogoniometrii i alarmują „podjazd” samochodowy. Nim nadejdą, nim instrumentami magnetycznymi zdołają odszukać stację w przybliżeniu — „gra” musi być skończona.

To, że „podjazd” zjawi się niebawem, jest pewne. Niemiecka służba radiowa i jej wywiad, tropią polskie stacje zaciekłe i niezmordowane. Te stacje — to





Wręcenie sztandaru oddziałowi Armii Krajowej. Żołnierze polscy noszą zdobyte płaszcze niemieckie

Łączność →

ludzi na ścianę. Sufity walą się w obłokach kurzawy wapiennej.

Niemcy atakują granatami ręcznymi. Kilka pocisków gruchnęło w okno. Wybuchy rozniosły w drzazgi wszystkie sprzęty. Ściany popękane. Wszystko tonie w dymie i kurzawie. Trzech ludzi leży na podłodze. Osłona. Zginęli?...

Niel Wszyscy nietknięci. Rozrzut dziesięciu wybuchów nie dosięgnął leżących. Zerwali się. Jeden rzuca się do wywalonego okna i ciska granat w kupę Niemców. Nic już — ogłuszeni eksplozjami — nie słyszą. Granat pęka, jakby bezgłośnie, snop ognia i dymu, rozszarpując jednego SS-Manna. Reszta zmyka z dziedzińca na ulicę. Gęsty ogień karabinowy masakuje ściany zewnętrzne. Znosi się na odcięcie odwrotu.

Przebojem!

Patrol opuszcza zrujnowany pokój. Strzaskanego aparatu nie sposób odnaleźć w rumowisku gratów. Stacja skończyła służbę.

Technik i dowódca wymietli Niemców z frontowej strony dziedzińca. Pod osłoną drewnianej szopy biją w głąb ulicy, szukając kulami zielonych mundurów. Pod parkanem leży już jeden poległy. Ale i Niemcy mocno naciskają. Kule praskają o kamienie. Tępo, jak przez grubą watę, słychać wybuchy granatów. Zbłąkany odłamek dosięga jednego z ludzi osłony. Rana biodra.

Przebojem!

Obydwie ulice, biegnące równolegle, obstawione obławą. Jedyna droga — dziedzińcami i ogródkami pod dwustronnym obstrzałem. Ale nie ma wyboru. Dwóch ludzi osłania technika. Z pistoletami w dłoni biegną, odstrzeliwując się na boki.

Dowódca został. Walczy o życie ранego kolegi. Jest to walka beznadziejna. Ranny nie zrobi ani kroku. Zginą więc razem, broniąc się do ostatniego naboju, kładąc trupem dwóch jeszcze Niemców.

Skok za skoki, wśród płotów, sznurów z bielizną, młodych drzewek reszta patrolu wyrąbuje drogę swojemu „grajkowi”. Z najzimniejszą krwią prą naprzód. Cichnie za nimi zgiełk śmiertelnej, ostatniej walki ich dowódcy. Wtem, gdy mają przed sobą już tylko przecznicę i kompleks koszar niemieckich, zza małej budki wyskakuje prosto na nich jakiś SS-Mann z karabinem. Rozdygotany smarkacz. Bełkocze coś. Pistolet osłony jest szybszy. Dwa... klapnięcia. Broń nie wypala obu przeciwnikom. I Niemiec rzuca się do ucieczki. Luka. Rzuca się w nią żołnierz z osłony. Sam. Tamci skręcili między budynki. Ten jest uratowany.

„Grajek”, zasłonięty rozwieszonymi pierzynami, wbiega do szopy. Jego pistolet jest pusty. Oba magazynki wystrzelane. Kryje się na stryszku. Widzi stamtąd drugiego towarzysza idącego w ślady pierwszego, który się przedarł. Sam już nie zdąży. Może tylko czekać. Na śmierć.

Dopiero teraz czuje, że jest ranny, że noga krwawi obficie. Ale oto Niemcy nadchodzą. Przetrasają domy, wypytują mieszkańców. Nie, nikt uchodzących nie widział (nie chciał widzieć). Słychać rozmowę w sieni, o parę metrów od kryjówki ранego. Niemcy mogą szukać na stryszku. Czy boją się, czy nie chcą zbyt wiele ryzykować, czy wierzą zeznaniom gospodyni — oddalają się. Szukają dalej. Wracają. Odchodzą wreszcie.

Ten moment trzeba wykorzystać. Ranny schodzi. Jest cisza zupełna. Półtorej godziny upłynęło (nie do wiary), od początku walki. Patrol osłony stracił dwóch dzielnych ludzi: Niemcy 4 zabitych, 2 rannych, 2 dogorywa.

Przebrany w czapkę mundurówą przez kogoś odważnego podaną, ranny technik przemyka się pustymi ulicami za plecami obławy. Czeka go jeszcze 6 km bolesnej drogi.

O tej chwili szereg innych, radiostacji Armii Krajowej śle zwykły serwis zagranicę. Niebawem podadzą krótki raport o walce w R., 5.III.44. Szyfrem zasalutują pamięć poległych z patrolu osłony.

N. N.

Patrol



Żołnierz polski ze zdobytym niemieckim karabinem maszynowym



Na odwodzie zimowym ↓

↑ Sanitariusz



↓ Stanowisko przeciwlotnicze



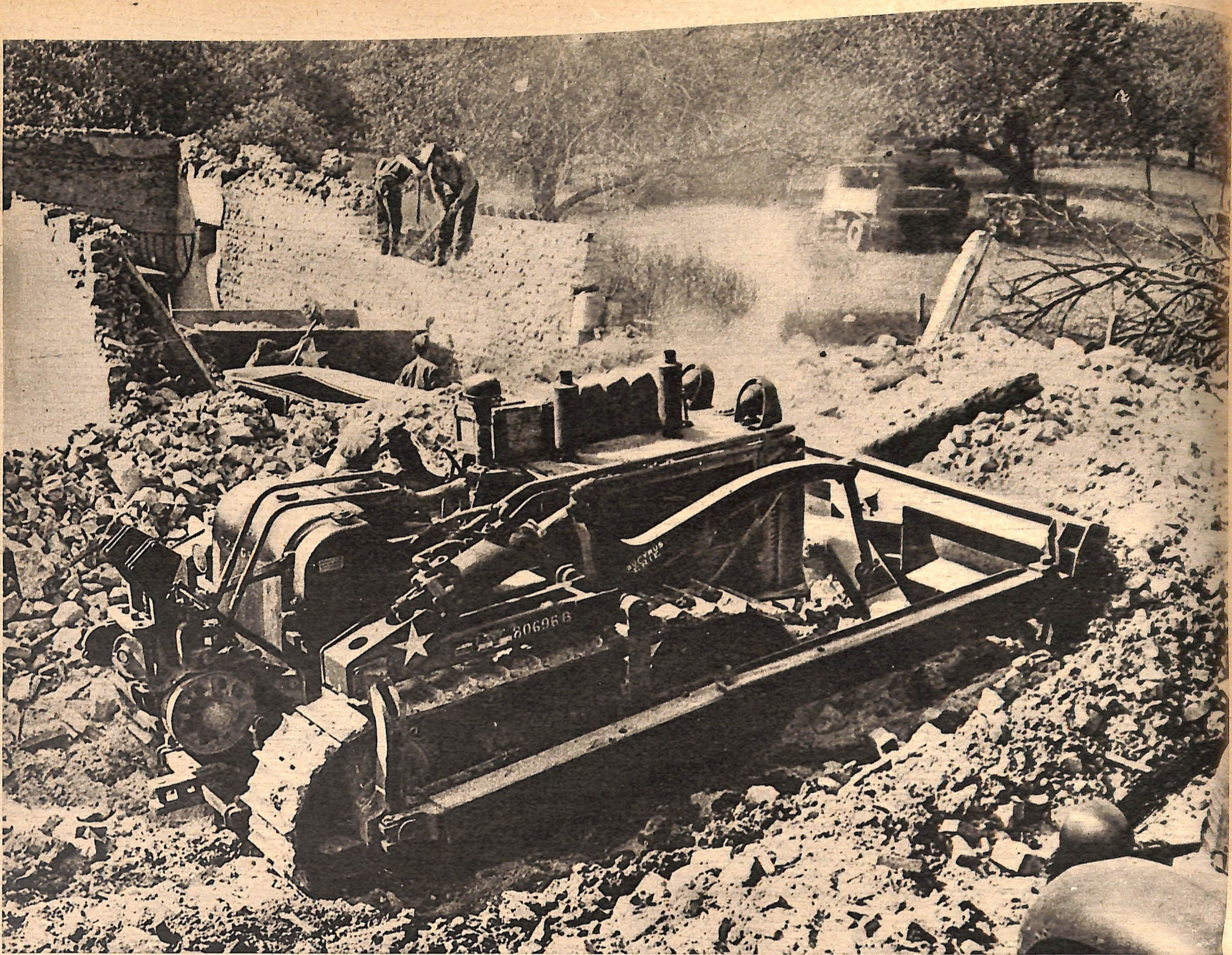
A L C Z Y



opatrunkowy

czce nie mają mundurów. Zdobędą je na Niemcach!





Oto jeden z tzw. „buldozerów” czołgów-pługów, które służą do usuwania rumowisk, oczyszczania dróg, lotnisk itd.

NAD ADRIATYKIEM

NAPISAŁ DLA „PARADY” TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

Świadectwo niemieckiego barbarzyństwa



Jeszcze kilka tygodni temu polskie dywizje leżały w schronach na zboczach majestatycznych gór pod Monte Cassino, a dziś przetrzone nad szafirowy brzeg Adriatyku, ści-

gają Niemców. O ile tam, od wawozu Inferno, przez dolinę Rapido, do stanowisk i schronów nad Cavendish Road, wszystko było znajome, każdy zakątek, drzewo, głąz — stanowiły znane wszystkim punkty orientacyjne, o tyle tutaj, w ciągłym ruchu, arkusze map zmieniają się niemal codziennie i Korpus pędzi naprzód, co dzień w innych warunkach, co dzień po innych drogach, siedząc na karku uchodzących Niemców.

Kolumny mkną po gładkich asfaltach, to w tumanach kurzu polnych dróg. Mijają zielone winnice, starannie pielęgnowane sady, brązowe ścierniska i kopy zrętej pszenicy, mijają białe plaże i szafirową gładź morza. Mijają jasne, kolorowe domki licznych letnisk i nadmorskich osiedli kąpielowych.

Przejeżdżamy przez wioski, gdzie Niemcy byli zaledwie kilka dni, spotykamy takie, w których nie było ich wcale. Czasami ma się wrażenie, że wojna nigdy nie tknęła tego cichego wybrzeża, i życie toczy się tutaj niezmiennym, dawno ustalonym, trybem. Ale złudzenia te rozwiewa widok rumowisk leżących w miejscu, gdzie wczoraj jeszcze stały kolorowe wille, objazdy i brody obok gruzów wysadzonych w powietrze mostów, olbrzymie leje od bomb na szosie.

Wojna szła tu skokami, omijając jedne osiedla, inne zmieniając w bezładne zwaliska cegieł i belek. Bezwzględnemu zniszczeniu uległo wszystko, co ułatwia komunikację. Systematycznie zniszczone i starannie obminowane dokoła są wszystkie mosty i mostki, do najmniejszych przepustów włącznie. Toteż wszędzie po drodze pracują gorączkowo saperzy. Mijamy oddziały rozbrajające miny na przejściach koło drogi: ludzie grzebią w piasku i układają kopczyki drewnianych skrzynek, już nieszkodliwych, bo pozbawionych złośliwego żądła zapalnika. Inni układają na piaszczyste dno rzek druciane siatki, podsypują i wyrównują przeprawy, tak że w parę godzin po odejściu Niemców najcięższe na-

sze kolumny mogą już przepchać się naprzód. Szofer, który niejedną taką przeprawę ma za sobą, spokojnie zjeżdża z asfaltu na rozłazący się pod kołami piasek świeżego nasypu, śmiało pruje wozem bystry nurt wody i szczęśliwie ląduje na drugim brzegu. Czasami coś tam nawali: wtedy podjeżdża czuwający nad brzegiem wóz ratowniczy i długim dziobem żurawia wyciąga nieszczęśnika na brzeg.

Taka jednak przeprawa przez bród jest uciążliwa i, co najważniejsza, zajmuje zbyt wiele czasu. Więc wysadzone mosty zastępują saperzy swoimi prowizorycznymi „Baileyami”. Tu przede wszystkim pracują wspaniałe maszyny — „buldozery”. Są to niskie, krępe potwory, niby jakieś przedpotopowe nosorożce, ryjące ziemię szerokim lemieszem stalowym. Bestie ciężkie i nieruchawe, niezdarne obracające się na hałaśliwych gąsiennicach, mięsą w swym krępym cielsku siłę olbrzymią. Widziałem jak buldozer zasypywał wyrwę — pozostałość po wysadzonym w powietrze mostku. Dziura była szeroka na dobre 15 metrów, głęboka na 5. Buldozer niezdarne przewalając się z boku na bok wpełznął na nasyp. Węsząc, niby ryjem, wzniesionym do góry lemieszem, podjechał pod wyrwę, chrząknął, stęknął, cofnął się, opuścił łeb — i ruszył naprzód, aż zwałił się w dół.

Obok stał szereg dobrze już wyrosniętych sosen. Buldozer obrócił się ku nim — (chciałoby się rzec: łypnął okiem i kiwnął porozumiewawczo łbem) — zniżył lemiesz, przejechał nim pod korzeniami drzew — i sosny już leżały pokotem. Druga seria chrząknęła, kołysała się i niemrawych ruchów i stos pni uwikłanych w masę kłębiącej się ziemi, zwałił się z hukiem na dno wyrwy. Tak, cofając się, to sunąc do przodu, likwiduje buldozer w ciągu paru godzin leje po bombach i co mniejsze wyrwy, robi trakty przez pola, wykonuje roboty ziemne, na które trzeba byłoby poświęcić pracę wielu dni i wielu rąk ludzkich.

Na grzbiecie czarnego potwora lśni od potu, spalony na brąz, tors człowieka. To saper, polski saper, który jest wszędzie. To on idzie przed czołgami, usuwając im z przed gąsiennic miny i pułapki; to on organizuje przeprawy pod ogniem niemieckiej broni maszyno-



Ułan i działo...

wej; to saper otwiera drogi dla ruchu zakurzonych kolumn pościgu.

A pościg trwa bez wytchnienia. Mijam „villagio”, z którego Niemcy wyszli wczoraj wieczorem. Ludność już powoli zaczyna ścigać do opuszczonych domostw. Bocznymi ścieżkami jadą ręczne wózki, naładowane przeróżnym sprzętem domowym, wracają białe krowy, chowane przed zachłannością Niemców po głębokich dołach w skrytkach leśnych, idą drobnym truchtem czarne, szczeniaste „majale” — tłuste świnki — przedmiot szczególniejszego pożądania każdego „tedescho”. Wzdłuż drogi stoją grupki rozemnianych dziewczę, które oklaskują przejeżdżające samochody niby bohaterskiego tenora na scenie, rzucając do wozów naręcza polnych kwiatów.

Po kilkunastu kilometrach dalszej jazdy docieram do osiedla, z którego Niemcy wycofali się dzisiaj rano. Panuje tu jeszcze martwa pustka. Żywego ducha na ulicach, szczelnie zamknięte okiennice na cichych domach, gdzie nie gdzie tylko przez wywalone drzwi widać nieład opuszczanych w pośpiechu wnętrz.

Pustymi ulicami jadą, hucząc i chrzęszcząc, nasze wozy. Jeszcze pół godziny — i wjeżdżam do wsi, z której Niemcy zostali wyrzuceni zaledwie przed dwiema godzinami. Zatrzymuję się przed domem, na którym wisi tekturowa tabliczka z napisem: „12 Gren. Rgt. 755”. Wewnątrz widać wszędzie pośpiech ucieczki. Na podłodze leżą porzucane części oporządzenia i mundurów. Skrzynki od konserw, domowy sprzęt, pliki papierów. Pochyliłam się nad nimi, bo to mnie najbardziej ciekawi. W kącie leży okazała paczka formularzy kart dezercyjnych: „Meldung ueber unerlaubte Entfernung (Fahnenflucht)”. Sądząc z tego zapasu musi to być formularz dość często przez Niemców używany. Oglądam numer „Illustrierter Beobachter” z 6 kwietnia br. Na tytułowej stronie fotografia jakiejś lokalnej sławy Luftwaffe z tłustym prosiakiem na ręku. Nie wiadomo, czy prosiak ma być maskotką lotnika, czy nagrodą, być może bardziej upragnioną, niż wszystkie Żelazne Krzyże! W środku pisma wielki artykuł pod tytułem: „Das Reich und Italien”. Artykuł zaczyna się od stwierdzenia, że Niemcy i Italia zostały w długoletnim procesie historycznym tak ściśle ze sobą związane, jak żadne inne państwa w Europie. A potem w rozwickłym wywodzie autor usiłuje udowodnić, że Święte Cesarstwo Niemieckie było jedynym spadkobiercą państwowych idei Rzymu, w średniowieczu, podobnie jak dziś jest nim Trzecia Rzesza, jedyny obrońca kultury i cywilizacji w Europie.

Wiele dałbym za to, żeby usłyszeć, co mówią między sobą „obrońcy kultury i cywilizacji”, czytając podobne artykuły. Sądzę, że padają przy tym określenia barwne i soczyste. Ale żadnego Niemca w pobliżu nie ma. Jedyny, który tu pozostał, gefr. Gerhard Wendt nie powie już nic. Leży cichy i milczący pod wilgotnym jeszcze kopczykiem ziemi za niskim żywopłotem obok domu. Na drewnianym krześle pod nazwiskiem data urodzenia: czerwiec 1924 i data śmierci: dzień wczorajszy. Koledzy gefreitra Wendta ostrzeliwują się jeszcze za po-

bliskim łańcuchem pagórków, ale nasi musieli już i tam ich wygnieść, bo bitwa ścicha wyraźnie.

Nadjeżdżają też ciężarówki z jeńcami. Przeważnie młodzi, 18-20-letni chłopcy. Nędznie ubrani w grube zimowe mundury, zmęczeni i zrezygnowani, w niczym nie przypominają swych butnych poprzedników z 39 roku, a nawet żołnierzy dywizji spadochronowej z pod Cassino. Wśród jeńców są Rosjanie, Ukraińcy. To — nowość po raz pierwszy spotkana przez nas na obecnym odcinku. Ostatnio Niemcy jeńców sowieckich, używanych dotychczas do robót przyfrontowych, wcielili do wojska, do specjalnych „Ostbataillonów”. Fizycznie jest to jeszcze słabsze od młodzieży niemieckiej, w tej chwili bardzo zadowolone, że znów udało się „błagopołuczno popaść w plen” i drzące tylko z obawy przed ewentualnością powrotu na łono „lubimój rodziny”.

Za samochodami wlecze się wózek zaprzężony w szerszawego konia. Powozi żołnierz niemiecki (Rosjanin), na wozie czterech Niemców. Za wózkiem idzie kapral polski z Tommygunem gotowym do strzału.

Podchodzę do tego dziwnego towarzysztwa. „Pani!” — śmieje się szeroko kapral — „to najpiękniejszy dzień mego życia! Proszę spojrzeć: wóz polski, o, widzi pan” — bije dłonią po tabliczce na spodzie wozu — „Radom! Nasz taborowy wóz zrobiony w Radomiu... A ten woźnica to Moskal...”. — Kapral aż pieje z radości. „Jak pragnę szczęścia, czy można zobaczyć coś lepszego: na polskim wozie — sowiet wiezie Niem-

ców do polskiej niewoli!... Dla takiej chwili warto było męczyć się te 5 lat!!!”.

Istotnie, dla takiego widoku warto się męczyć parę lat!

Dla takiego i dla dalszych, jakich nie skąpi nam w dniu dzisiejszym szczodrobliwy los. Po drodze na plac boju spotykam co raz to biedkę jednokonną, to wóz w parę krów zaprzężony, pełne Niemców, eskortowane przez naszych pieszych żołnierzy, którzy w żaden sposób nie chcą wsiąść na te wehikuły.

„My jesteśmy wojsko zmotoryzowane” — mówią dumnie — „takie coś dobre dla wożenia Niemców!”.

Gdy tak patrzę na te wozy wiozące jeńców niemieckich, kiedy widzę porzucone przez Niemców działa, przy których stoją konie i krowy, używane przez nich jako siła pociągowa, wypływa nagle z pamięci wspomnienie z przed paru lat. Na wiosnę 1940 r. widziałem, bodaj że w Kownie, jakąś ilustrację niemiecką. Pełno w niej było przechwałek z niedawnej kampanii polskiej. M. in. była tam fotografia polskich taborów konnych i grupka naszych jeńców. „Panjewagen” — głosił napis — „powszechnie używany w Polsce środek lokomocji. Na takich wozach chcieli Polacy walczyć z niemiecką zmotoryzowaną armią”.

Dzisiaj tysiącami polskich motorów huczy pościg za uchodzącym Niemcem. Naprzód i naprzód mknie polski żołnierz w czołgach, scautcarach, carrierach, na Dodgeach, Chevroletach, Fordsonach...

I po drodze mija w pędzie biedki jednokonne, wozy w krowy zaprzęgnięte wiozące jeńców niemieckich do polskiej niewoli...

Wóz pancerny Karpackiego Pułku Ułanów w akcji



Włoskie „bambina” i polski M. P.



Niemcy są pozbawieni wyobraźni politycznej. Przebieg wojny obecnej potwierdza to raz jeszcze. Niemcy nie mają nawet szczypty wyobraźni politycznej, a wszelkie jej pozory są w istocie fantazowaniem najgorszego gatunku. Charakter niemiecki waha się tragicznie między realizmem a mistycyzmem, przy czym oba krańcowe bieguny są chorobliwie skrzywione. Realizm niemiecki dotyczy przede wszystkim małego odcinka, na którym z niebywałą ostrością obejmuje mnóstwo szczegółów. Wyprowadzony raz na dalekobieżny tor, daje nura w świat arealny. Nigdzie poza Niemcami nie ma wiary tak fanatycznej w jakąś fatamorgana, pozbawionej jakichkolwiek możliwości realizacyjnych.

Pozwala to łatwiej zrozumieć naród niemiecki, jego podatność do przyjmowania wytycznych, mających go prowadzić do wielkości i do wygody jakiegoś raju na ziemi. Przykładem takiego całkowitego braku wyobraźni politycznej jest zmarnowanie szansy historycznej pozyskania sobie Europy w pierwszym okresie okupacji. Przykład z innej zupełnie dziedziny, to wytrwałość wojenna ludności niemieckiej, którą należy tłumaczyć nie tylko terorem Gestapo, ale także — wiarą w ów niemiecki raj po wojnie, obiecany masom z wiosną na jesień, z jesienią na wiosnę. Dla takiego celu warto było „Maul halten” i „aushalten”, najpierw w tamtej wojnie, potem od 1930 roku, i teraz, podczas pięciu lat wojennych. Łatwiej też, pamiętając o tym, wnikać w obecną sytuację wewnętrzną Rzeszy, pojąć rachuby i szanse, tam jeszcze ważone, gdy my już ich nie widzimy.

Ostatnie wydarzenia w Niemczech, niejasne w pewnych szczegółach, w istocie swej nie ulegają żadnej wątpliwości. Zamach na Hitlera zorganizowany został przez generałów lub prowokacyjnie urządzony przez Himmlera; — tak czy owak, rozgrywka między armią a Hitlerem dobiega dramatycznego końca. Stosunek ten nawiązała kiedyś armia, — z agenta sztabu uczyniła wodza, udoskonalila narzędzie, trafnie je oceniając, że doprowadzić może najlepiej do celu ustalonego już w listopadzie 1918 roku: do odwetu, opanowania Europy i świata. Hitler-agent podjął władzę. Hitler-Führer zmienił jednak stale układ sił w stosunkach swych z armią, nie bez sprzeciwów, nie bez starć mniej lub więcej jawnych: rzeź grupy Roehma, zamordowanie gen. Schleichera, gen. Fritscha pod Warszawą, kryzys pierwszej zimy wojennej w Rosji... i teraz największe starcie, krwawa czystka — represja po zamachu, czy uprzedzenie puczu generalskiego. Otwarty ten konflikt, dramatyczne widowisko wyrzynania ręką niemiecką najlepszych wodzów armii niemieckiej wynika niewątpliwie z klęski na frontach wojennych. Tylko z klęsk! Mózgi tej armii, pracujące zawsze nad zwycięstwem lub uratowaniem żywej siły narodu, wyciągnęły konsekwencje z beznadziejnego położenia wojskowego Rzeszy, aby wykorzystać szanse polityczne. Nie po raz pierwszy!

15 września 1918 roku Ludendorff telegrafował z frontu do Berlina — „Nie możemy już dalej”, 11 listopada podpisano zawieszenie broni. Takim, podobnym do owej depechy sygnałem alarmowym jest obecne zamieszanie w Niemczech. Tylko tym razem armia jest przesycona elementem partyjnym i na widowni jest Himmler — okres więc do katastrofy może być znacznie dłuższy, choć nie długi.

Dzisiaj słusznie już mówić o klęsce niemieckiej. Potęga wojskowa Trzeciej Rzeszy należy do przeszłości. Planowy początkowo odwrót na wschodzie wymknął się z rąk niemieckich i zamienił na niewątpliwą klęskę.

W ciągu miesiąca, od 23 czerwca do 23 lipca, dostało się do niewoli sowieckiej 22 generałów niemieckich, w tym 5 dowódców korpusów, — fakt wymowny i napewno nie „planowy”. Na zachodzie inwazja nie przyniosła ze sobą tych możliwości „błogosławionej okazji”, na jaką jeszcze niedawno, wiosną bieżącego roku, liczył Goebbels. Załamał się plan niemiecki, w którym pierwszeństwo przyznano frontowi zachodniemu. Powodzenie inwazji sojuszniczej załamało rachuby niemieckie na zachodzie, a co za tym idzie — również na wschodzie. Bez elementów widocznej klęski nie doszłoby nigdy do rewolty generalskiej. Ani do tego, że tworzy się już nowa odmiana tej samej legendy, pokutującej od roku 1918: „Dolchstoß” — porażki jedynie od wewnątrz, a niezwykłości na zewnątrz. Pierwszy watek tej legendy podrzucony został przez generała Diettmara, na fali rozgłośni berlińskiej w słowach: „rewolty kliki generalskiej opóźniła operacje

strategiczne na wschodzie, konieczne w sytuacji krytycznej”.

Jeśli jednak jest tak źle, dlaczego jest jeszcze tak dobrze? Na co liczyć może sztab partii hitlerowskiej? Jak mógł wyglądać rachunek „klik” wyłapywanej przez Himmlera, komu miał być wystawiony, skąd wyglądają ratunku dla Niemiec następni zamachowcy?

Sytuacja Hitlera i towarzyszy jest prosta. Z tą grupą dzisiaj nikt już nie będzie rokował. Położenie ich może być tylko lepsze, nigdy gorsze. Wszystkie nadzieje wiążą jedynie z niespodziankami, płynącymi na fali czasu, ze środkami rozpaczliwymi (gaz itp.), wreszcie ze starym, od dawna przygotowanym programem — chaosu.

„Zwycięstwo lub chaos” było hasłem wpajającym kierownikom młodzieży hitlerowskiej na obozach wyszkolenia. Ma to być chaos wewnętrzny i zewnętrzny. Więc zejście reżimu (jednych) w podziemia konspiracji i teroru, więc i przemalowanie (u drugich) sztandaru. Powtórzę cytowane już raz w „Paradzie” wyznanie człowieka o podwójnym, wedle potrzeby, obliczu, zausznika generałów i agenta partii. „Gdy wszystko pójdzie źle — oświadczył dr Hans Espe — wywiesimy czerwone flagi i zabawimy się w komunizm”.

Zniszczenie w Niemczech, a tym bardziej w Europie nie będzie dla tych ludzi żadnym skrupułem. Utożsamiają przecież światopogląd hitlerowski z niemieckim i ratunek dla Niemiec widzą jedynie w przetrwaniu, w przechowaniu narodowego socjalizmu. Chaos wewnętrzny służyć będzie tylko im — tak liczą — jako jedynej grupie zdyscyplinowanej, świadomej i bezwzględnej. A Europa? Jej zachodnia cywilizacja, przecież pierwszoplanowa w obrazie Niemiec? I tu także hitlerowcom chodzi o największy chaos, sprzyjający przewadze problemów

oraz ta swoboda ruchów, jaka wynika z przyjętego tam rozróżnienia między reżimem a narodem niemieckim.

Czynnikiem poważnym, dzisiaj raczej niedocenionym, okaże się w Niemczech kościół katolicki. Był zawsze bardzo mocny, walka hitlerowców z katolicyzmem osłabiła go jedynie liczebnie, nie podrywając państwowo-twórczej roli, ja podrywając państwo katolickie, uratowali po 1918 roku państwo niemieckie od rozkładu i anarchii. Centrum zdecydowanie poparło młodą republikę, pomimo oporów, pochodzących ze sfer wielkoprzemysłowych i ziemiańskich, mimo groźby utraty głosów. Ten państwowo-zachowawczy czynnik, który wówczas działał równoległe do akcji konserwatywnego stanu urzędniczego i zagubionych w całości socjalistów, odegrać może w niedalekiej przyszłości rolę podobną — najbardziej zachowawczą.

Zbierając czy odrzucając analogie z 1918 rokiem, nie wolno zapominać o istotnej różnicy: ówczesny reżim padł sam, niemal nie atakowany — dzisiejszy będzie miał obrońców fanatycznych. Ogólnie, pogorszy to sytuację Niemiec.

Katastrofa grozi Niemcom, jest jednak pewne, że nie pochłonie ich całkowicie. Wypięnięcie tak licznego narodu jest niemożliwością. Niemcy są pewną siłą nawet w bezsilie, są siłą swych kilkudziesięciu milionów, swą masą produkcji i konsumpcji. Są siłą przez swe położenie w centrum Europy, które daje im lepszą dyslokację sił w grze politycznej; przez to położenie, w którym potencjalnie tkwi tendencja tak dla Polski groźna: układu z Rosją. Demokracja Rathenau, zawierając w kwietniu 1922 roku z Sowietami układ w Rapallo, naśladował królów pruskich i Bismarcka, i sam znalazł naśladowcę, na szczęście mniej udolnego — Hitlera. Rapallo, obojętnie pod jaką nazwą,

nie i narodowo prawie nie można zniszczyć. Niemcy, ubezpieczone od Rosji, są niemal nie do zaatakowania. To bezpieczeństwo jest dla nas gwarancją życiową... Niemcy z Rosją łączy ich różnorodność. Mają sobie dużo do ofiarowania. I jeśli nie są zaślepione, nie dzieli je żadna sprzeczność interesów”.

Hellpach raz jeszcze odżegnaje się od Europy. „Rosja i Niemcy wobec cywilizacji zachodniej są niezależne, dostatecznie autochtoniczne, w przeciwieństwie do Polaków, Rumunów i Czechów, którzy oddali się jej ze skórą i kośćmi”.

Początek nowej epoki rozwoju europejskiego widzi autor w Rapallo. W tej „Politeuropie” ogniskami centralnymi mają być Berlin i Moskwa, w Europie zaś, jako obszarze pewnej kultury wpływu germańsko-słowiański (rosyjski) zastąpi dawną przewagę romańsko-germańską. Taka Europa — upaja się Hellpach — będzie otwarta na wschód, do Azji, i równocześnie na zachód, w kierunku Ameryki. Przy tej koncepcji — „Anglia i Francja zjeżdżają do roli mocarstw tylko na marginesie Europy”. To właśnie uważa „demokrata” niemiecki za decydujące o przyszłości Rzeszy, twierdząc również, że i sama Anglia nie pragnie innej pozycji wobec Europy.

Nie wiem jakie są dzisiaj losy profesora Hellpacha, czy wyszedł z Dachau, do którego wpakowali go kiedyś hitlerowcy. Wiadomo natomiast, że dobre stosunki łączyły Hellpacha z wieloma generałami. Liczni jego przyjaciele siedzą w Ameryce, gdzie rozwijają działalność polityczną, mocno zbliżoną do tej przytoczonej tu książki.

Hellpach nie jest jasnowidzem. Wiele jego twierdzeń okazało się nieprawdą, wiele przewidywań — błędnych. Hitler poprowadził Niemcy przeciw — Rosji. Ale imperializm tego „demokraty”, oparty na współdziałaniu niemiecko-ro-

NA CO JESZCZE LICZĄ NIEMCY

społecznych nad politycznymi, i zamięnianiu klęski wojskowej na nierozgraną polityczną. W programie tym leży również zniszczenie Europy.

Nie może to przerażać hitlerowców, skoro nawet Willy Hellpach, demokrat, w książce swej, wydanej w Berlinie w roku 1928*, z lekkim sercem wyrzeka się Europy. Pisz: „Przyszła Europa przyjmie prawa dziejowe od niemieckorosyjskiego zjawiska, albo nie będzie jej wcale (chyba tylko jako wątpliwe pojęcie geograficzne)! Wobec tej możliwości: żadna Europa — stoimy spokojnie, niż mogłyby to dopuszczać współczesne poglądy. Każda bowiem Europa zależy od Niemiec, żadne Niemcy od jakiegokolwiek Europy. Nadchodzący świat nie może się obyć — lub bardzo źle — bez Niemiec, ale może — bez Europy”. Tak napisano, powtarzam, w roku 1928.

Mówiąc o armii i jej rachubach, ściętnie ją trzeba do grupy, tylko grupy najwyższych oficerów, bynajmniej nie wszystkich. Armia bowiem jako całość, stara armia niemiecka, posłuszna woli, wykluwanej niezmiennie w tradycjach sztabu i kierowanej dla tych samych ciągle celów — ta armia dzisiaj już nie istnieje. Jeśli były co do tego wątpliwości, rozwiane zostały ostatnimi wypadkami. Hitler planowo przemieszczał korpus wyższych oficerów żywiołami fanatycznie partyjnymi, przygotowując się na kryzys, o którym wiedział, że kiedyś nastąpi. Owoce tej polityki zebrał teraz.

Rewoltujący generałowie działają według starych wzorów: uratować co się da, dla Niemiec. Powstrzymać chaos i zniszczenie, przywrócić ład z myślą o nowej odgrywce. Na kogo mogli stawiać: na wschód czy zachód, na Rosję czy Anglosasów? Na pewno byli — i są — zwolennicy jednych i drugich. Zerkaniu na wschód sprzyja wiele rzeczy: dawna koncepcja armii niemieckiej porozumienia z Rosją, sięgająca jeszcze dogmatu politycznego Bismarcka; znane sympatie grupy oficerskiej, skupiającej się dokoła generała von Metzcha; wreszcie rosnący stale zespół generałów niemieckich, apelujących z Moskwy do swego narodu,

pokutuje w Rzeszy u wszystkich Niemców. Również i dzisiaj. Tkwi poprostu w sytuacji, jaka stworzona została w Europie o zaburzonej równowadze. I pod tym także względem ciekawa jest wspomniana książka Hellpacha.

Członek partii demokratycznej i wielbiciel republiki weimarskiej, kandydat na jej prezydenta, stawia Rzeszy prognozę polityczną. Recepta jest dwojaka: wewnętrzna i zewnętrzna. Na wewnątrz przepisuje Niemcom największą „Gleichschaltung”, „bolesne” jak twierdzi, ale konieczne podciągnięcie wszystkiego i wszystkich pod jeden strychulec i jedną koncentrację, celem przygotowania państwa do wielkiej światowej rozprawy. Przewidywanie, typowo po niemiecku, godzi demokrację z owym „Massentritt von Bataillonem”, który — „jedynie utworzyć może naród państwowy”.

Hellpach jest typowym Niemcem o bezbrzeżnej fantazji. Również i jego entuzjazmuje wizja panowania nad światem. „Polityczna prognoza dla Niemiec zależy przede wszystkim od tego, czy pojmą swe położenie, czy na nim się oprą”.

Jakież to położenie? Posłuchajmy Hellpacha:

„Niemcy i Rosja są związane wspólnym losem i jeśli nie rozerwie ich znów błędny imperializm, wspólnota ich kształtować będzie polityczną przyszłość Europy i Azji”. O tej Europie mówi wyraźnie. Przyznając Anglii przynależność do Europy tylko jako pojęcia kulturalnego i rozpatrując historycznie opowiadanie się Niemiec przy Rosji lub Anglii, ogranicza Europę polityczną („Politeuropa”) do jednego bloku, jednej tylko strefy interesów. „Jest kwestią życiową dla Niemiec, czy będą mogły być po stronie Rosji... Wzajemny stosunek Niemiec i Rosji określa każdorazowo statut polityczny Europy... Rosja i Niemcy są na siebie skazane. Oba państwa pozostały mocarstwami mimo klęski, rozprężenia i niemości wojskowej, oba są siłą z wewnątrz. Siłą ich jest ta „młodość”, którą zachodnie mocarstwa nazywają „barbarzyństwem”. Rosji przestrzen-

syjskim, jest nie tylko jego pragnieniem. Imperializm ten był w Niemczech zawsze, przed każdą wojną i po każdej wojnie. Będzie i tym razem. Wątpliwe jednak, czy ostatecznie się wobec faktu, jakiegoś marzycy o nowym Rapallo Hellpach i towarzysze nie przewidzieli. Wojna sowiecko-niemiecka, jej rozmiar i bezlitosność, nienawiść w skali dotąd nie istniejącej między tymi narodami, nienawiść, której wymierzyć nie może ilość grobów rozsypanych na olbrzymich przestrzeniach, wreszcie i zniszczenie Rzeszy, jako potęgi gospodarczej — to wszystko przeciwdziałać będzie ewentualnym planom porozumienia germano-rosyjskiego.

Trafnie uderzenie niemieckie poszło najpierw na Polskę — przeszkodę pierwszą na drodze do światoburczych planów. Trafnie też, choć późno, Anglia łącząc się z Polską porzuciła pozycję europejskiej „Randmacht”. Powrót Anglii na ów „margines” wydaje się niemożliwy: byłby bowiem rezygnacją z owoców zwycięstwa wojennego, byłby przegraniem pokoju na rzecz jakiegokolwiek Czwartej Rzeszy, czy hegemonii europejskiej innego państwa. Cień katastrofy pochylił się już nad Niemcami. Ale jeśli katastrofa śmiertelnego wroga ma być również pełnym zwycięstwem sprzymierzonego dziś świata, likwidacja Niemiec musi być całkowita, a jej realizacja podwójna: negatywna i pozytywna. Negatywnie oznacza to podział Niemiec, ich decentralizację, daleko łatwiejszą, niż się wydaje. Pozytywnie będzie to bezkompromisowe wzmocnienie sąsiadów, którzy padali ofiarą stałych napaści. Będzie to także czynny udział Anglii w samym życiu politycznym Europy, a nie tylko na jej marginesie. Będzie to wreszcie panowanie zasad równych dla wszystkich.

W przeciwnym razie ta wojna straciłaby swój cel, a Europa...

...nie byłoby jej wcale! Jak powiedział Hellpach, imperialista niemiecki w demokratycznej skórze.

TADEUSZ PNIEWSKI

* Willy Hellpach: „Politische Prognose für Deutschland”. — S. Fischer Verlag, Berlin — 1928.

Historia bez precedensu

Korespondencja własna „Parady” z Nowego Jorku

Nie wolno zakładać rąk. Dla pesymistów ta przypowieść. Dla niedowiarków ta historia cudu. Łatwo mówić o cudzie, kiedy idzie o wielkiego świętego. Ale wiadomo, że nie święci garnki lepia. Św. Franciszek z Assyżu propagandy naprawdę nie potrzebuje. Wiedzą o nim dosyć ci, którzy wiedzieć chcą. Zda się jednak szczególnie wypadkiem, jeżeli właśnie w dzisiejszych czasach przypomnia się go światu po przez polską książkę. Jeżeli właśnie w dzisiejszych czasach ścierania się wielkich potęg materialnych książka ta wychodzi pt.: „Błogosławieni u bodzu duchem”.

Dwadzieścia lat polskiej niepodległości nie wyprowadziło literatury polskiej na szeroki świat. Sienkiewicz znany był i czytany tylko dlatego, że pisał o Rzymie. Reymontowska nagroda Nobla nie zrobiła wyłomu w tym obojętnym stosunku do polskiej literatury, jakiego nawet egzotyka tematów nie potrafiła zmienić, ani przełamać. Ossendowski pozostał w pamięci angielskich czytelników, jako szlachcic rosyjski. W repertuarze wielkich pisarzy świata, nie ma Bogiem a prawdą, polskiego nazwiska. Przesuwały się czasem jak meteory i gasły w powodzi innych. Pisarz polski był pisarzem zaściankowym. Żaden nie zdobył trwale światowego rynku, ani zainteresowania, chociaż pisarzy dobrych było w Polsce wielu, a sam „Rój”, nie mówiąc o innych firmach wydawniczych, wydawał blisko 200 tomów rocznie. Zda się tedy paradoksem, że trzeba było dosłownie wojny i wszystkich z niej wynikłych nieszczęść, aby się przełom dokonał, przełom polegający na daniu dowodu, że w tej powodzi książek, jakie w Polsce zalewały stonkowo mało pojemny rynek czytelnicy, są dzieła mogące liczyć na obywatelstwo światowe. Wydawców „Roju” spotkał we wrześniu los do tyłu polskich losów podobny. Wojna wyrzuciła ich na nowojorski bruk. Taki był pierwszy warunek, aby się cud mógł dokonać.

Projektów i energii nie brakowało. Brakowało im jednak najczęściej wiary samych Polaków w sens tego uporu i pożytek tego przedsięwzięcia. Bo uparli się przedsięwziąć raz jeszcze to, co ich w Warszawie cechowało jako najruchliwszą firmę wydawniczą, to co próbowali odrobić w Paryżu — bez skutku. Dwa lata trwały przygotowania. Marian

Kister czytał wszystkie znalezione polskie książki, próbował w nich odkryć tę jedną czy drugą, która by miała szansę na rynku amerykańskim. Przebierając w obfitych materiałach biblioteki Columbii, ale szukając także po antykwariach starych, zużytych i zapomnianych już egzemplarzy. Wydali kilka tomów polskich wierszy. Sprzedano już między Polonią przy okazji występów autorskich poetów, tutaj obecnych. Ciągnęło się w ten sposób miesiącami, ale ledwo wiążąc koniec z końcem. Bo to wszystko były rzeczy na małą skalę, tyle że pozwalały na wegetację. O wprowadzeniu między wydawnictwa o tutejszym rozmachu i potędze ani marząc. Pewnego dnia wpadła im w ręce ostatnia książka Zofii Kossak-Szczuckiej. Dobrze znana w Polsce i nigdzie poza nią. Nazywała się „Bez oręża” i była historią dziecięcej krucjaty, była swoistą apoteozą rzuconej na to tło postaci świętego Franciszka z Assyżu.

Jest bezsprzeczną zasługą tej pary wydawców, że nie mówiąc prawie po angielsku, zrozumieli tendencje nurtujące społeczeństwo amerykańskie zwłaszcza w czasie tej wojny. Mowa jest o tendencjach czytelnicy. Dawno już wprawdzie istniał w Stanach Zjednoczonych popyt na dobrą powieść historyczną. Ale popyt ten szczególnie wzrastał, kiedy dzieło o minionych czasach dotyczyło problemu religijnego. Jest być może szczególnie sposobem odwrotu od rzeczywistości ten amerykański pociąg do przebrzmiałej dawno historii. Jest jednak potrzebą i pociechą dla wielu serc, zwłaszcza w obecnych czasach, zagłębianie się w problemy wycute z materializmu, dotyczące wielkich prądów i wielkich bohaterów, nie wojen i nie polityki, ale wiary.

O to maleńka, zaczynająca skromną działalność firma wydawnicza „Rój — na wygnaniu”, wpisuje do katalogu „Blessed Are the Meek” Zofii Kossak. Nie posiada pieniędzy na reklamę. A mimo to dociera do prasy i do księgarzy. Agentem jest sama pani Kisterowa, która z polskim przedwojennym katalogiem „Roju” objeżdża Amerykę. I pokazuje Amerykanom nic o tej Polsce nie wiedzącym swoje dokonania wydawnicze w czasach niepodległych. Na 3000 wydanych w Polsce książek „Roju” — 400 tłumaczeń autorów amerykańskich. Nie ma człowieka w Stanach Zjednoczonych, któ-

rego by nie przekonał i nie ujął podobny argument. Nie chcą pieniędzy, dają ułatwienia, pomogą, jak tylko się da. Ale ta drobna działalnością, zachwalającą swój towar wydawców, nikt nie potrafił przewyciężyć konkurencji olbrzymich, wprowadzonych i doświadczonych domów wydawniczych. Przełom dokonyuje się dopiero, kiedy bijąc potężnych rywali książka Zofii Kossak zostaje wybrana jako „book of the month” przez organizację tej samej nazwy. „Rój” wydobywa się nagle na pierwsze strony prasy. Literatura polska przeżywa za pośrednictwem nieznaną zagranicą autorki jeden z największych triumfów, jaki się zdarzył od czasu Sienkiewicza i Reymonta.

„Book of the Month” jest instytucją osobliwie amerykańską. W kraju, w którym wychodzi 12.000 książek rocznie, trzeba wyręczyć czytelnika w trudnej sprawie dokonania wyboru książek najlepszych i godnych włączenia do biblioteki. Podjęła się tego zadania ta właśnie organizacja, której autorytet i doświadczenie oparte jest o szereg pierwszorzędnych lektorów, aż do posiedzenia Komitetu, na którym przez głosowanie dokonuje się wyboru książki — jednej na miesiąc. Ten wybór jest już pieczęcią decydującą o jej powodzeniu. Jest jednak nie tylko zwrotem uwagi na tych 12 książek rocznie, zasługujących na przeczytanie. „Book of the Month” zakupuje w dodatku od wydawcy prawo wydania dla swoich 305.000 członków tyleż egzemplarzy, jakie tym samym z miejsca docierają do elity czytelników. Książka staje się modna, posiada szansę zamiast przeciętnego nakładu 5.000 egzemplarzy osiągnąć cyfrę miliona.

Ta też była podstawa sukcesu Zofii Kossak jako autorki i Kisterów jako wydawców. Po zdobyciu tej pierwszej rundy wszystko inne ruszyło z kopyta. Powodzenie jest najlepszym sprzymierzeńcem powodzenia. Armia amerykańska kupuje dodatkowo 80.000 egzemplarzy dla żołnierzy na frontach zamorskich. Niedzielne wydanie „New York Times” na pierwszej stronie swego dodatku poświęconego książce pisze o Zofii Kossak. „Life” zamieszcza sześć stron fotografii włoskich obrazów, znajdujących się w muzeach amerykańskich, a związanych z życiem Świętego Franciszka, oraz foto-

grafię, znajdującej się nie w muzeum wprawdzie, ale mocno już znanej na gruncie amerykańskim, pani Kisterowej. Od Atlantyku po Pacyfik staje się ten tom jedną z najpopularniejszych w Ameryce książek. Jest zaliczony do best-sellerów i w powodzi wychodzących książek w tabeli notowań powodzenia kilku najlepszych trzyma się przez całe tygodnie na 9, 7 i nawet na 6 miejscu. Z dnia na dzień firma wydawnicza „Rój” pozbywa się nie tylko wszelkich kłopotów finansowych, ale buduje sobie fundament opinii tak mocnej, że może marzyć o wprowadzeniu się na rynek Ameryki z wytrzymaniem konkurencji innych domów wydawniczych. Rozszerza plany i raz podbiwszy rynek już teraz z całą swobodą i pewnością siebie bierze w ręce losy amerykańskich wydań książki polskiej, utwierdzając w ten sposób jej przyszłość. Z zapomnianych skarbow literatury polskiej, z powodzi poświęci nieznanych szerzej autorów będzie mogła wybierać i wydawać te książki, które z niewiadomo jakiej przyczyny nie prze-rwały się dotąd przez zaczarowane koło polskiego języka i śpiąc, jak skarby zakłete, czekały na odkrywcę.

Jest tylko uczuciem straszliwie bolesnym świadomość, że Zofia Kossak doświadcza na terenie Ameryki triumfu, bo zdobywając go bez reszty nie tylko ostatnią swą książką, ale każdą książką, jaką napisała czy mogłaby napisać, sama nie potrafi w nim wziąć udziału, odciała od świata w Polsce ścianą milczenia. I pewnie nie wie nawet co ją spotkało.

A tu tymczasem, wśród przygotowanych na przyszły sezon książek idą dalsze tomy jej historycznych powieści. Ukazują się i ukazywać będą coraz to inne nazwiska pisarzy polskich, Pruszyńskiego, Porucznika Herberta, Prof. Lednickiego, Bronisława Malinowskiego, Kuncewiczowej itd. Nowi, nieznanii jeszcze autorzy polscy, byle pisali dobrze i zajmująco, mogą się odtąd oprzeć na swoim własnym wydawcy amerykańskim — z Kredytowej nr 1 w Warszawie. Niech przysyłają rękopisy. Tymczasem dokoła „Roju” huczy jak w ulu. Mnożą się wywiady i artykuły. Zainteresowanie jego działalnością raz obudzone nie słabnie. Dokonywa się to dziś, w okresie dla Polski trudniejszym niż kiedykolwiek, jakby na dowód, że są ludzie i są społeczeństwa, gdzie prawdziwe jej wartości docenione będą zawsze i uznane, byle je tylko z nieistnienia wydobyć i umieć już nie tylko pokazać, ale po prostu sprzedać. Ale na to trzeba nie tylko talentu i uporu, trzeba nawet pewnego ryzykanckiego zacięcia. Wykazała się nim prywatna firma, pokazała inicjatywę i porwawszy się z motyką na słońce — o dziwo, dotknęła słońca Na tym polega cud.

I dowodzi wszystkim, którzy wątpią, wszystkim, którzy chcieliby załamać ręce, że można, że warto, że trzeba.

Fantazja ulicy Lwowa jest nieśmiertelna. Cokolwiek dzieje się w tym mieście, w lot znajduje ilustrację w piosence, w wierszyku, w anegdocie. Oto poniżej wydobyty z pamięci zbiorek lwowskich piosenek i gadek, z grubsza może naszkicować historię miasta.

Kiedy Pełtew toczyła swe brudne wody jeszcze wzdłuż ulicy Hetmańskiej, stała na moście pomiędzy ulicą Sykstuską i Kilińskiego, stara figura św. Michała, patrona grodu. Pamiętała ona jeszcze czasy Rzeczypospolitej i królów. Mówiono o niej:

Tu stoi święty Michał,
Co jeszcze nigdy nie kichał,
Choć ten bezbożny lud
Postawił go na ten smród.

Później, gdy Pełtew w śródmieściu pokryto, figurę przestawiono na ulicę Romanowicza, by po pewnym czasie postawić ją na Zamarstynowie, gdzie rzeka ostatecznie wynurza się ze swych sklepień. Tutaj święty Michał stał już nad czystymi wodami.

Gdy nadeszły czasy C. K. Austrii, a ulicami chodzili dragoni i huzary, lwowska „batiarnia” miała nowe tematy do drwinek.

Cóż tam na Grodku lud si zbira,
Cóż tam za rejwach jest i gwar?
Ta to prowadzą dezertyra
Pośród bagnetów kilku par
Na głowi ma ukańskie czako,
Do policajka woła: kusz!
Za galopując ty żebraku
Dwanaście lat przy wojsku służ!

Były to bowiem czasy, gdy w wojsku służyli po dwanaście lat.

Zwyczaj bijatyka uliczna znajdowała nieraz oddźwięk w piosence:

Idy sobie bez ulicy
Gwizdam sobi sztajer,
A to patrzę z moją Manią
Suni jakiś frajer.
Ja do niego przystępuje
Aby on si spalił,

A on na to prosto w mordę
Jak mi nie wypalił.
Jak on mnie tak potraktował,
To ja go pogłaskał,
Jego stacja ratunkowa,
A mnie dziad potaskał.
Teraz siedzę w kminale,
Ali honorowo,
A ten frajer gdzieś w szpitalu
Z rozwaloną głową.

A oto popularna „awantura na balu weteranów”:

A tam znowu jakaś szarża mocno
si obraża,

Bo ja mam nagniotki najże pan
uważa.

Ja nie lubię gadać wiele, ty cywilne
ciele

Ino w mordę strzele, taj już, taj już!
Pan Bazyl przy kadryli prze-

praszna na chwili

Bo mu portki pękli gdzieś na
samym tyli,

Najsi panna nie obraża, to si
nierzad zdarza

Jak kto nie uważa taj już, taj już!
O północy si zjawili jakieś dwa cywili

Mordy podrapane, wtosy jak badyli,
Nic nikomu nie mówili, tylko

mordy bili,
Lampy pogasili taj już, taj już!

Jedną z najpiękniejszych piosenek jest

piosnka o lwowskich dzieciach:

Dzień jest chłodny i ponury
Z cytadeli płyną chmury,
Idą, idą lwowskie dzieci,
Idą tułać się po świecie...

Może ma mogiła stanie
Gdzieś w wozie na Bałkanie,

LWÓW

w anegdocie i piosence

Może wrócę ciężko ranny,
Lub dostanę krzyż drewniany
Albo może być, że powrócę zdrow
I zobaczę miasto Lwów.

Po obronie Lwowa powstała przepiękna piosenka „Białe róże”:

...Tam pod Lwowem, gdzie w woj-

jence padł,
Urosł na mogile białej róży kwiat...

W związku z którąś rocznicą obrony Lwowa powstała taka anegdota:

Na mały cmentarz obrońców wpuszczają tylko rodziny poległych i oficjalne delegacje. Dawni obrońcy utrzymują porządek uniemożliwiając wstęp osobom niepowołanym. Jakis Józku próbuje przecisnąć się:

— Ta dzie pan si tak pcha, dzie? — zapytuje strażnik.

— Ta nic proszy pana, ja tylko tak...

— Ma pan tam kogo leżeć?

— Ta ni, proszę pana, jeszcze ni.

— Może pan z jakiej deputacji?

— Ni, proszy pana, ja tylko tak.

— To idźy sy pan do ciężkiej cholery i nie pchaj si tam, dzie pana nie trzeba.

— A pan co tu tak stoi, że pan tak gada? — zadaje zgnąta pytanie Józku.

— Ja jezdy obrońca Lwowa — odpowiada strażnik prostując się dumnie.

— Ta? — odpowiada Józku — to pan tu powinien leżeć, a nie stać.

Niemal każdy dramatyczny, kryminalny proces uwieczniano w ulicznej piosence. Po słynnym procesie Gorgonowej powstała taka oto piosnka:

...I pan Zaręba wtedy niestety
Kiedy samotny pociął si on,

Wpadł pod urok pięknej kobiety,
Co si nazywa Rita Gorgon.

Jakoś dla rytmu trzeba było akcentować ostatnią głoskę nazwiska „pięknej kobiety”.

Nadchodzi wrzesień 1939, a mimo to we Lwowie powstaje aktualny sztajerek:

Gdy na Lewandówce tanki si zjawili
Oj diri diri, oj diri, diri
Dzieci i kobiety na nich si rzucili
Oj diri diri bum.

Fłaszka benzyny, jedna zapątka.
Oj diridi ridi, oj diridi ridi,
Nic nie zostało z niemieckiego tanka
Oj diridi ridi bum.

Antek i Franek z majchrami w ręku
Oj diridi ridi, oj diridi ridi
Wyrzli zatogę bez jednego jęku
Oj diridi ridi bum.

Wzięli maszynki, wzięli granatniki
Oj diridi ridi, oj diridi ridi
Poszli od Niemca odbić Kozielniki
Oj diridi ridi bum.

I znów gruzy, głód, deportacje, mróz i śmierć... Nadchodzą lata depresji. Patrzy Mickiewicz z kolumny na Plac Mariacki, Korso:

Żebzak za żebrakiem, za żebrakiem

żebrak,

A za tym żebrakiem wywiadowcy

nie brak...

...i znów idą lwowskie dzieci, idą tułać się po świecie, aż zasłzi za siódmą górę, za siódmą rzekę... Dziś, gdy od paru lat najczarniejsza noc legła nad kochanym miastem, prawie wierzyć się nie chce, że słońce nadal jeszcze wschodzi z lesienickich buków i spać się kładzie w kleparowskich czerechach. Lecz lwowskie dzieci, które się tułają i te, które w domu zostały nie wątpią ani przez chwile, że znowu nadejdzie dzień, gdy słońce wolności zajaśnieje, a lwowska ulica ze zwykłym, od stuleci przekazywanym humorem zaintonuje hymn triumfu.

Z. Konarski

Membership Card

This is to Certify that

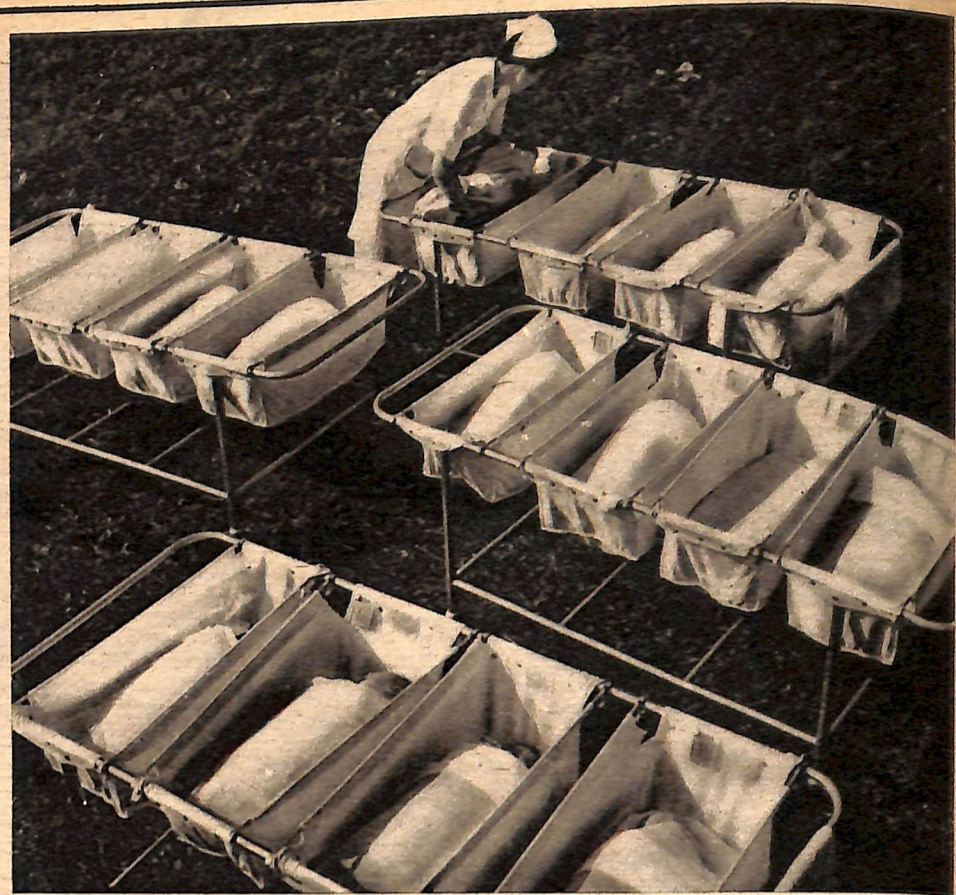
has qualified as a member of the Goldfish Club by
escaping death by the use of his Emergency Dinghy on

SIGNED
Signed

CHARLES A. ROBERTSON
Hon. Secretary

KLUB „ZŁOTEJ RYBKII”

Klub „Złotej Rybki” jest jednym z najbardziej ekskluzywnych klubów świata. Aby móc zostać członkiem tego klubu trzeba udowodnić, że swe życie zawdzięcza się skokowi z samolotu w morze. Skok ze spadochronem w morze, to pewna śmierć. Gdy się jednak posiada „Dinghy” tj. małą gumową łódeczkę można na niej bezpiecznie przetrwać aż do nadejścia pomocy. Założycielem tego oryginalnego klubu jest wynalazca „Dinghy”, która do tej pory uratowała życie setkom lotników. Zdjęcia reprodukowane poniżej ilustrują, co „trzeba mieć za sobą”, aby móc zostać członkiem Klubu „Złotej Rybki”.



„Ideal równego startu życiowego”



Str. 3 i 4: fot. F. Maliniak
Str. 5: fot. inż. W. Ostrowski, British
Office of War Information
Str. 6: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 7: fot. U. S. Office of War Inf.
Str. 11: fot. Pułk Ułanów Karpackich,
Szumański, F. Maliniak
Str. 14: fot. British Ministry of Inf.
Str. 16: Ratusz w Poznaniu

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



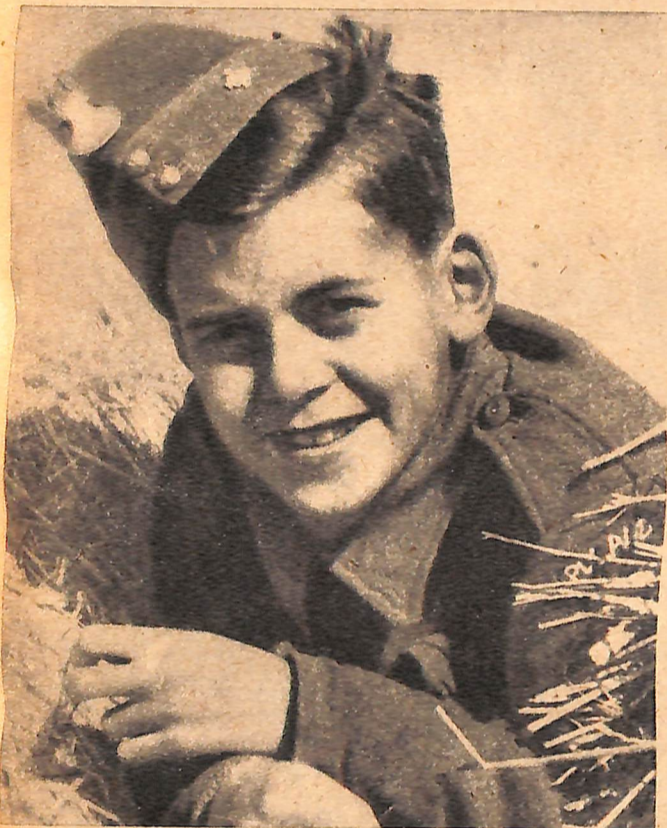
Orkiestra Szkoły Kadetów. Instrumenty ofiarowały różne oddziały APW



W Nazarecie na „ognisku” pierwszej licealnej

JUNACKA uroda

Ten uśmiech jest jeszcze beztroski



Młodsze ochotniczki ↓



W świetlicy junackiej ↓



